N. 19. WARSZAWA d. 29 Kwietnia (11 Maja) 1872 ROKU.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

KILKA SŁÓW O PRZEKŁADACH

Z POWODU ARTYKUŁU

PANA STANISŁAWA NOWIŃSKIEGO

POMIESZCZONEGO

W TYGODNIKU WIELKO-POLSKIM

przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

Możemyż wyobrazić sobie naród jaki, dokoła odgrodzony od innych murem, nieprzepuszczającym z zewnątrz żadnego głosu, żadnego zjawiska z wrzącego po za nim życia, zasklepiony w samym sobie materjalny i moralny żywot swój wysnuwający tylko z siebie, niepomagający nikomu i przez nikogo nie wspomagany, milczący jak grób, jak otchłań niedostępny? Podobnemi opatrzone warunkami istniały w wyobraźni marzycieli, tylko wyspy Utopije.

W rzeczywistości, rozliczne narody, różniące się właściwościami nadanemi im przez czynniki natury którym podlegają, i koleje dziejowe jakie przebywały, ale połączone jedną, choć różnolitą w odcieniach naturą ludzką, podzieliły się pomiędzy sobą wielkiem dziełem poszukiwania ideału i dochodzenia doń za pomocą usilnej długiej pracy. Każdy z nich jedną część dzieła tego obrabia, z roboty jego korzystają inne, oddając mu wzajem plony badań swych i doświadczeń. Spełnia się w tem prawidło zamiany usług i dokonywa podział pracy z szybkością matematyczną, zbliżający całą robotę do wytkniętego jej celu. Nie wszystkie zapewne pomysły dają się zastosować tak samo na każdym gruncie, zastosowanie samo odbywa się w przeróżny sposób i w przeróżnych stopniach, ale co pewna to to, że siła zbiorowa musi być koniecznie większą od pojedynczej, że każda myśl gdziekolwiek powzięta wywołuje gdzieindziej myśl inną, a często całe szeregi myśli, że każde doświadczenie na jednym punkcie ziemi dokonane, rozsyła na mnóstwo innych punktów promienie odkrytej prawdy. I oto na czem zależy braterstwo narodów.

Być może iż znajdzie się wielu ludzi, którym brzmienie ostatnich dwóch wyrazów wywoła na usta uśmiech szyderski, niedowierzający lub gorzki.

Braterstwo ludów! Gdzież ono jest zaprawdę? Kędy praktykuje się? Jegoż to symbolami byłyby iglicowe karabiny, kule roztrzaskujące, kartaczownice, długie jak wieczność, szerokie jak świat koszary?

A jednak istnieje to braterstwo, nie tam zapewnie kędy brzmią armatnie wystrzały, ani tam gdzie ludzie wodzący palcem po jeograficznych kartach w myślach swych kreślą drogi dla tych wystrzałów, ale tam kędy panuje wieczny spokój i pogoda w krainach wiar świętych i prac szlachetnych, w szerokiej dziedzinie ludzkiego ducha zamieszkiwanej przez umysły szczere, gorące, w ściganym przez się ideale rozkochane i jego szukające po obszarach ziemi całej, po niezmierzonych przestrzeniach fizycznego i moralnego widnokręgu.

Tchnienie braterstwa tego napełnia gabinety uczonych i pracownie artystów, przenika serca i głowy wielkich miłośników dobra, prawdy i piękna, a rozchodzące się z nich emanacje w formie tworów myśli, pióra, dłuta, pendzla przebiegają świat od krańca niby z różnych stron przybywające hasła, a wołające ku ludziom wszelkich narodów, klas, barw i klimatów, coraz daléj! coraz wyżéj!

Oprócz tego narody są jeszcze ze sobą solidarne. Złe zaszczepione a niezniszczone na jednym punkcie ziemi, stanowi plamę, która rozlewa się coraz szerzej i obejmuje sobą krąg coraz większy.

Summa dobra utracona w jednem miejscu, przynosi straty konieczne dla wszystkich innych miejsc, oświata powstrzymywana w jednej stronie zwalnia postępek światła wszędzie, nadwerężone zdrowie jednéj garści ludności osłabia albo gorączkowo przyśpiesza pulsacyą powszechnego organizmu. Wzajemnie, tryumf nauki, sprawiedliwości, dobroci lub wspaniałomyślności gdziekolwiek byłby osiągniętym, milijonem ech uderza o serca i umysły wszystkich ludzi zamieszkujących ziemię — Któż powie, kto obliczy ile męczarni oszczędzonych, ile czasu zdobytego, ile zagadnień rozwiązanych i pragnień ludzkości zostałoby spełnionych, gdyby ta zasada solidarności ludów i wzajemnéj niejako ich odpowiedzialności zapominaną nie była?

Ogólne te uwagi jeśli uznanemi będą za słuszne, same przez się roztrzygną wyłączną kwestję, która spowodowała to małe pismo, a której przedstawienie nie poprzedzone temi ogólnemi uwagami, nie posiadłoby może dostatecznéj jasności, a w każdym razie nie dosięgnęłoby rdzenia i jądra rzeczy. Narody bratają się ze sobą myślami, uczuciami, kształcą się wzajemnie i wspólnemi siłami dążą do wprowadzenia w życie nurtujących je idei, które w połączeniu składają się na powszechny ideał prawdy i szczęścia. Narody związane są nierozerwalną solidarnością, ból i ubóstwo jednego z nich bodzie i zuboża inne, zdrowie i bogactwo jednego wzmaga siły i pomnaża skarby innych. W ten sposób zestosunkowane ze sobą, czy powinny i czy mogą narody nie dzielić się wszystkiemi powziętemi pomysłami i czynionemi doświadczeniami? Najpewniéj nie powinny, ale gdyby nawet nie były powinny toby nie mogły. Jeżeli zaś dzielenie się to konieczne jest i nieuniknio-

ne, możnaż urządzać dział ten za pomocą wag i miar, ustanawiać granice opatrzone w służebników, mających zapobiegać kontrabandom, urządzać kwarantanny z pozwoleniem przepuszczania w głąb kraju niewinne febry i katary, a niedopuszczania dżum i tyfusów? Któż zdolny dokonać tego? Narody bratają się ze sobą myślami i uczuciami, odpowiadają niejako za siebie więc znać się wzajem muszą i powinny, więc zachodzący pomiędzy niemi dział pomysłów i doświadczeń jest nieunikniony. Jest to szereg prostych konsekwencji jedna z drugiéj wypływających. Kto w narodzie podjąć się może rozgatunkowywania zagranicznych płodów, przyjmowania jednych a odrzucania innych? Kto dokonywać będzie ciężką zawsze, występną często, szkodliwą najczęściéj tę proskrypcyjną czynność? Mieliżby dokonywać ją ludzie pracujący piórem, trudniący się przyswojeniem rodzinnéj mowie wykładu pomysłów i opisu doświadczeń wykonanych w mowach obcych? Jakież są te prawidła którémi by w podobnym razie rządzić się ci ludzie powinni? Aby działania ich były słuszne musieliby oni chyba posiadać przenikliwość nadludzką prawie, dar powszechnego widzenia, wiedzenia i przewidywania a oprócz tego musieliby jeszcze być połączonymi ze sobą najzupełniejszą zgodnością tego widzenia, wiedzenia i przewidywania. Inaczéj garść ludzi stworzyłaby Areopag rządzący według własnego widzimisię, złożonego zwykle z różnych wyi przekonań, z pomiędzy których wiele być może obrażeń a nawet musi błędnych i chwiejnych. Dla przyjęcia dzieł jednych a odrzucenia drugich, jaką zakreślić można granicę? Wszelka proskrypcja dotyka nietylko winnych danego występku, ale zawsze i koniecznie obejmuje sobą mnóstwo niewinnych. Któż podejmie się upewnić, że pomiędzy odrzuconemi płodami obcych piśmiennictw, nie znajdywały się takie, z których wypłynęłyby dla narodu zbawienna nauka i nieskończony pożytek? Czy zapewnią o tem ludzie trudniący się rozgatunkowywaniem i wybieraniem? Ale któż znajdzie rękojmią słuszności, trafności, bezstronności ich zdania? Jest to błędne koło.

Któż nie wie jakiemi skutkami obdarzały i obdarzają świat kuratelle, rodzą one w znaczeniu ekonomicznem ubóstwo, w moralnem obłudę i hypokryzyę, w umysłowem zastój i ciemnotę.

Że naród każdy doświadcza chwil szału i obłąkań, to pewno, ale są to fazy istnienia jego wyjątkowe, a dla takich wyjątkowych też potrzeba wpływów i prawideł, ale żeby naród który osiągnął pewną summę oświaty i samopoznania, uważanym mógł być jako dziecko, to mi się nie zdaje ani słusznem ani możebnem. Gdyby pióro piszących działało tak na ludy jak szkolna ferula na dzieci zgromadzone w szkole, zadanie pisarzy byłoby nierównie łatwiejszem a co więcéj obfitszem w skutki niż jest w istocie, życie zaś tych zbiorowych jednostek tak burzliwe zazwyczaj, tak zmienne w swych kolejach, cofające się i postępujące, targane przeciwnemi często acz równie gwałtownemi radami, płynęłoby jednostajnie i spokojnie jak godziny ucznia, zakreślone z góry programatem wiszącym na drzwiach szkoły ręką profesora nakreślonym. Na nieszczęście przecież dzieje się wcale inaczej, a wpływ piszących na społeczność jest nie równie więcéj skomplikowanym i utrudnionym w pochodzie swym i rozszerzaniu się nad tą massą ruchliwą a upartą, hałaśliwą a lękliwą, która jak szczyt drzewa wichrami wstrząsana podmuchami wieku i potrzeb jego, upiera się jednak przy swym dotychczasowym punkcie oparcia mocą przywykleń i nałogów, jęczy i szlocha na teraźniejszość a lęka się przyszłości, któréj przecież pragnie i przyzywa. Powołaniem pisarza które on uczuwa w sobie i nad spełnieniem którego pracuje, jest tłumaczyć narodowi własną istotę jego rozdrobioną na milijony istot, a zatem zrozumieniu każdej z nich w części przynajmniej umykającą, wydobywać na jawnią prawdy żyjące już, lecz jeszcze ukryte w łonie narodu, jak dziecię przed narodzeniem w łonie matki, rozpowijać z pieluch wyobrażenia i pojęcia skrępowane niemocą umysłów i woli jednostek siłą miłości i rozumu popychać naród na te drogi, które on sam w myśli swej bezwiednie sobie nakreślił, na których widzi pożytek swój i zbawienie ale na które wstępuje z trudnością i powoli. Na takiem tłómaczeniu, odkrywaniu, rozpowijaniu i popychaniu zależy wpływ pisarzy na społeczności, żaden zaś z nich nie jest mocen wyosobnić się z pomiędzy ludu ani stanąwszy na abstrakcyjnej wysokości nakształt metra tańców, wołać do tańczącej według muzyki jego społeczności: figura pierwsza! en avant! au retour! etc.

Ile razy który z pisarzy uczynił tak, to jest wyosobnił się z pomiędzy narodu swego i dyrygować nim zapragnął według własnego widzimi się, tyle razy głos jego był głosem wołającego na puszczy, a w walce zawiązanéj pomiędzy wolą pojedynczą, mogącą być kaprysem skrzywionym umysłu lub choréj wyobraźni, a wolą zbiorową przez którą objawia się najgłębsza i istotna natura narodu, pierwsza zwyciężoną zdeptaną zawsze bywa. Gdyby naród był dzieckiem chłonąłby w siebie jak dziecko wszystkie nauki, poddawałby się wszelkim wpływom, a jednak widzimy, że tak nie jest. Naród przyjmuje to co chce przyjąć, odrzuca od siebie to co mu niepotrzebne, co naturze jego, dążeniom, pragnieniom i potrzebom nie odpowiada. W prawidle tem jak bodaj w każdem innem zdarzają się pewne, dość częste nawet zboczenia, ale i jakież zjawisko zostające pod wpływem mnóstwa innych okrążających i cisnących się zjawisk, może pozostać całkowicie wolnem od zboczeń? Niemniéj przecież prawidło pozostaje prawidłem i rządzi ogromną większością wypadków.

(d. c. n).

Korespondencja ze Lwowa.

— 2 —

(Dokończenie.)

Walkę dzisiejszą rozpoczął organ krakowskiéj dyrekcji *Afisz*, który pocieszając Kraków po stracie p. Ładnowskiego, zaangażowanego do lwowskiego teatru, nazwał lwowskie przedsiębiorstwo teatralne blagą, używając charakterystycznéj nazwy: puf teatralny. W lot pochwycił ten wyraz opozycjonista quand même *Dziennik Polski* i używał go codziennie w kronice ze szczególną predylekcją. Ten wyraz tak dokuczył Monitorowi nowéj dyrekcji, że rzuciwszy się na dyrekcję krakowskiego teatru nadzwyczaj namiętnie zarzucił jéj niesłychane ubóstwo w personalu artystycznym, zapominając zupełnie, że do niedawno bo jeszcze przed rozstrzygnięciem konkursu, uważał p Koźmiana za wzór dyrektora, a krakowskich artystów wynosił pod niebiosa. Ta sprzeczność rażąca obudziła z obojętności nawet poważny i spokojny a w sprawach artystycznych tak kompetentny *Czas* krakowski, który z godnością ale dosadnie ochłostał ten wybryk. Nowa zatem dyrekcja ma już opozycję dość silną w dziennikarstwie a niepotrzebuję dodawać, że dziennikarstwo jest w téj sprawie może bardzo wiernym wyrazem opinji publicznéj.

Nie chcemy usprawiedliwiać braku taktu monitora lwowskiéj dyrekcji, ale w każdym razie sprawiedliwość przyznać nakazuje, że w tej chwili opozycja tak zacięta nie ma jeszcze racji bytu. Nowa dyrekcja nie dała jeszcze żadnego przedstawienia, nie uorganizowała się dotąd należycie, więc na stanowcze potępienie wcale jeszcze nie zasłużyła. Z drugiéj jednakże strony faktem jest, że dyrekcja stanęła na bardzo pochyłéj drodze, bo zaczyna wojować samochwalstwem i przesadą. Śmiesznie to bowiem wygląda, że jeden z dyrektorów nie szczędzi pochwał nowéj dyrekcji w swojem własnem piśmie, a jeszcze śmieszniejszem jest przytaczanie pomiędzy znakomitościami artystów, którzy wprawdzie pod innem nazwiskiem, ale dość niefortunnie występowali już na scenie lwowskiéj przed kilku laty. Kto czytał tylko monitora lwowskiéj dyrekcji, mniemałby, że teatra krakowskie i warszawski po przynęceniu wszystkich znakomitości do Lwowa upadły zupełnie, a może nawet zamknięte zostały. Tymczasem wszystko to jest przesada tak samo, jak przesadnem było przyrzeczenie, że p. Jan Królikowski obejmie naczelną dyrekcję, co skwapliwie powtarzano przed rozstrzygnięciem konkursu. Dzisiaj bowiem trąbi już monitor teatralny do odwrotu przyznając, że p. Jan Królikowski nie może stale osiąść we Lwowie, ale przybędzie na kilka tygodni i da cały szereg gościnnych występów.

Otóż takim brakiem taktu dyrekcja przysłuża się tylko przeciwnikom swoim, którzy skwapliwie uderzają w tę słabą stronę. Dyrekcja pozna zapewnie niebawem, że droga taka wiedzie do zrehabilitowania p. Miłaszewskiego i umniejsza jéj zasługi około podniesienia sceny lwowskiéj, do czego już znacznie przyczyniła się zaangażowaniem świeżych sił artystycznych, jeżeli nie pierwszorzędnych to w każdym razie bardzo użytecznych, i przyjęciem do repertoaru arcydzieł dawno już niewidzianych we Lwowie.

Ubiegły miesiąc upamiętnił się samemi swarami i niesnaskami. Nietylko bowiem sama sprawa teatralna waśniła i niepokoiła ludzi. Podobne sceny zaszły także w towarzystwie muzycznem i ozwała się niespodzianie opozycja przeciw dyrektorowi Mikulemu, którego dotąd uważali wszyscy za nietykalną powagę artystyczną. Opozycja ta była nadto słabą, by mogła dokonać jakiegoś przewrotu w towarzystwie. Cała historja skończyłaby się była spokojnie i prędko, ale drażliwość dyrektora dotkniętego bardzo tym pierwszym objawem niezadowolenia, nadała nieznaczącemu nieporozumieniu charakter krytycznego przesilenia. Dyrektor zażądał dymisji, na co większość w żaden sposób zgodzić się nie chciała. Dotąd jeszcze nie wiadomo, na czem się ta burza skończyła, ale wszelkie wskazówki pozwalają przypuszczać, że pożar niezupełnie stłumiony został, a zarzewie nowych waśni tli jeszcze dość niebezpiecznie.

Daleko fatalniéj skończyły się niesnaski w Kasynie mieszczańskiem, bo obóz malkontentów pozostawszy w mniejszości ze swojemi pretensjami, urządził formalną secesję i postanowił założyć nowe kasyno. Tutaj toczyła się walka już o kwestję donioślejszą, zasadniczą, więc koniec musiał tak wypaść. Kasyno mieszczańskie założone zostało przed kilku laty przez grono najpoważniejszych mieszczan.

Gdy kasyno zaczęło się rozwijać i w końcu stało się bardzo ożywionem ogniskiem towarzyskiego życia, zapisywała się coraz większa liczba ludzi różnego zawodu i najrozmaitszéj kondycji. Przyszło w końcu do tego, że kasyno przestało faktycznie być mieszczańskiem w znaczeniu, jakie we Lwowie temu wyrazowi nadają. Zmiana taka była wcale niepożądaną dla mieszczan a zarazem: członków kasyna. Ci

coraz głośniéj i jawniéj utyskiwać poczęli na to, że zepchnięci zostali zupełnie z dawnego stanowiska przez większość ogromną nie mieszczan, których znowu w sposób dla siebie najfatalniejszy ochrzcili nazwą inteligencji, jak gdyby sami tworzyć mieli obóz ciemnoty. Utyskiwania powtarzane z początku bardzo nieśmiałe i zagłuszone systematycznie krzykiem przeciwnego obozu doprowadziły w końcu do jawnego rozdwojenia i starcia. Grono mieszczan zażądało całkiem formalnie rebalotowania wszystkich członków kasyna, ażeby tym sposobem pozbyć się indywiduów, które wcisnęły się do towarzystwa tylko dzięki nieuwadze komitetu zarządzającego. Daléj żądali opozycjoniści, ażeby przy wyborze wydziału ich obozowi przyznano wpływ stanowczy a nawet większość. Większość czyli „inteligencja" postanowiła na wolnem zgromadzeniu zgodzić się na żądania, które się jéj słusznemi wydały a nad resztą warunków podyktowanych przeszła do porządku dziennego. W skutek tego opozycja gremialnie ustąpiła z kasyna z zamiarem założenia nowego. Dziennikarstwo całkiem niepotrzebnie podniosło całą tę sprawę do rzędu ważnych starć społecznych, gdy tymczasem motywami secesji była tylko kwestja dogodności i chęć założenia ogniska, odpowiedniejszego warunkom i pretensjom opozycji.

Na zakończenie téj chronique scandaleuse wspomnę jeszcze, że i tegoroczne odczyty dla kobiet nie skończyły się spokojnie. Jeden z prelegentów dr. Alfred Zgórski wykładając o psychologji postawił twierdzenie, że funkcje umysłowe u kobiety za nadto słabe, by mogły doprowadzić do równego z mężczyznami postępu w jakiejkolwiek gałęzi nauk. To śmiałe twierdzenie wywołało w dość licznym obozie zwolenniczek emancypacji hałas, który nawet bez udziału pani Dobieszewskiéj do srogich doszedł rozmiarów i w końcu zostawił po sobie ślady w uszczypliwych fejletonach.

Lepiéj nierównie wypadły odczyty na korzyść przytuliska dla biednych sierot. W tych odczytach wzięli udział dr. Antoni Małecki. hr. Stanisław Tarnowski i Władysław Łoziński. Dochód był wcale znaczny.

Wydział krajowy wykonał w ostatnim miesiącu uchwałę sejmu, która nauce ważną wyświadcza przysługę. Donosiłem już dawniéj, że sejm uchwalił przyjąć na fundusz krajowy wydawnictwo materjałów p. Antoniego Schneidra, które dadzą kilkadziesiąt tomów druku i tworzyć będą szczegółowy obraz Galicji pod względem historycznym, archeologicznym statystycznym etc. Żaden zakątek, żadna pamiątka ważniejsza nie zostanie w tem dziele pominięta. Rękojmię dają nam pod tym względem aż nadto dostateczną, pierwsze zeszyty wydane własnym nakładem autora, które nawet w pismach niemieckich jak najpochlebniéj ocenione zostały. Własnym nakładem ubogi autor nie zdołałby nigdy wydać owocu zmudnéj i skrzętnéj pracy całego życia, więc reprezentacja kraju postanowiła zająć się wydawnictwem, a wydział krajowy wykonywując jéj wolę wyznaczył autorowi skromną płacę i asygnował już koszta druku. Fakt ten zadowolił bardzo wszystkich z dwóch powodów. Najpierw bowiem nauka odniosła wielką korzyść, na co się wszyscy zgadzają. Drugim powodem zadowolnienia jest ten pocieszający wypadek, że doczekał się skromnego wynagrodzenia człowiek, który poświęcił całe swe życie pożytecznej pracy i oddał się jéj z niepospolitą, prawie zdumiewającą wytrwałością i abnegacją. Pan Antoni Schneider jest człowiekiem niepospolitéj pracowitości i zasługi, a mimo to skromnym w swoich pretensjach aż do przesady, ma więc dwie zalety dzisiaj tak rzadko idące w parze ze sobą, i dlatego też zasłużone ich uznanie wywołało powszechne zadowolenie.

Wydział krajowy zrobił nam oprócz tego jeszcze inną bardzo cenną niespodziankę naukową. Wydał bowiem trzeci spory tom aktów grodzkich i ziemskich z archiwum bernardyńskiego. Jest to zbiór aktów z odległych stuleci starannie ułożony i wydany przez dr. Xawerego Liskiego, profesora dziejów powszechnych przy uniwersytecie lwowskim.

Br. Ł.

Przegląd literacki.

Warszawski Rocznik Literacki, poświęcony Literaturze, Oświacie, Bibliografii i Księgarstwu. Rok pierwszy 1871. Redaktor Stanisław Czarnowski Mag. Pr. i Ad. Warszawa. Nakładem wydawnictwa S. Czarnowskiego i spółki r. 1872. Stron 172, oprócz dodanych ogłoszeń na kolorowym papierze Str. XII, i dołączonego kalendarzyka.

Długi szereg kalendarzy, kalendarzyków i roczników, jakie się ukazały na rok bieżący w języku polskim, zakończył *Warszawski Rocznik Literacki* wydany przez p. S. Czarnowskiego.

Ponieważ to publikacya nowa, wyróżniająca się od innych, i dawno pożądana, winniśmy czytelnikom naszym sprawozdawcze o niéj słówko.

Warszawski Rocznik Literacki (rut.) rozpada się na trzy działy, literacki, bilbiograficzny i księgarski. Dział literacki zawiera. a) Ogólny pogląd literacki na rok 1871. b) Przegląd bibliograficzny i recenzye ważniejszych publikacyi r. 1871. c) Wiadomości rozmaite (?). Dział bibliograficzny obejmuje spis *przedmiotowy* publikacyi księgarskich, oraz spis *alfabetyczny* tychże publikacyi. Dział księgarski mieści spis księgarni; podaje najprzód miasta tak w Królestwie, jak i w Cesarstwie, Prusach i Austryi, w których znajdują się księgarnie polskich książek, a następnie spis imienny, alfabetycznie ułożony tychże księgarni.

Ze wszystkich tych działów i poddziałów najpraktyczniejszym i najpożyteczniejszym jest Katalog przedmiotowy i alfabetyczny, bo z niego za jednym rzutem oka ogarnąć można, jakie książki i w jakiéj gałęzi wiedzy przyniósł nam rok upłyniony.

Co do innych części Rocznika, te, jak się to zwykle dzieje na świecie, mają swoją dodatnią i ujemną stronę.

Chcąc wykazać jedną i drugą, należałoby zrobić pytanie, czy rocznik tego rodzaju jest publikacyą polemiczną, czy sprawozdawczą? Polemiczną być nie może i nie powinna, gdyż jako taka wywołuje odpowiedzi i nowe repliki, a ukazując się raz do roku materyalnie czyni je niepodobnemi. A zatem charakter przeważnie sprawozdawczy najwłaściwszym jest dla Rocznika Literackiego.

Redaktor Rocznika innego był zdania, gdyż część sprawozdawczą poprzedził polemiczną, nie powinien się więc dziwić, iż zamiast wdzięczności i uznania za swoją uczciwą pracę. wywołał tylko niezadowolenie i wrzawę po wszystkich prawie pismach peryodycznych.

Więc Rocznik ma być zimnym, bezdusznym katalogowym przeglądem wydrukowanych książek? może sam redaktor, lub który z jego przyjaciół zapytać.

Bynajmniéj.

Pojmujemy dobrze, iż taki Rocznik Literacki, będący pewnego rodzaju rachunkiem sumienia naszéj działalności umysłowéj, bez poglądu krytycznego obyć się nie może, gdyż w takim razie stałby się istotnie nic nie mówiącym katalogiem księgarskim, ależ poglądem krytycznym nazwać nie można czysto *subjektywnego* zapatrywania się gwoli pewnéj koteryi, pewnego kółka czytelników, a niekiedy i stronnictwa całego.

Rocznik przemawia do całego narodu do wszystkich jego wyznań tak politycznych i religijnych, jak i filozoficznych, a zatem przedewszystkiem winien być objektywnym, bezstronnym i zgodnym sam z sobą. Cóżby sam redaktor Rocznika powiedział *np.* o doroczné publikacyi, zapatrującéj się na świat i ludzi przez szkiełka spirytystów, albo ultramontanów, bo przecież i tych u nas nie brak. Mogą ci panowie mieć swoje organa peryodyczne, bądź jawne, bądź zamaskowane, mogą w nich swoje przekonania i tendencye wygłaszać, nie mamy nic przeciwko temu, i owszem na wszechstronności nigdy prawda nie straci, ale Rocznik Literacki, o ile nam się zdaje, nie miał zamiaru być areną, w którejby się kruszyły kopie na cześć pewnych doktryn, w których podobało się jego współpracownikom widzieć zbawienie ludzkości....

Grzechem tedy pierworodnym *Rocznika Literackiego* jest jego charakter polemiczny, a grzech ten zrodził powierzchowność, jednostronność i sprzeczność z samym sobą, jak to zwykle ma miejsce, gdy kilku autorów pracuje bez nakreślonego z góry planu, albo co gorsza nakreślonego błędnie. Każdy z artykułów, wchodzących do Rocznika, wzięty oddzielnie ma racyą swojego bytu, jako objaw indywidualnego przekonania piszącego, ale razem uważane są z sobą niezgodne i, jak powiedzieliśmy, nie na swojem miejscu.

Dowodami popierać ujemnéj strony *Rocznika* nie widzimy potrzeby, bo aż nadto dotkliwie dano mu już to uczuć, chociaż trzeba przyznać, że nie zawsze sprawiedliwie, gdyż obrażony lub interessowany nie może być bezstronnym sędzią. Słuszność każe przyznać, iż w ocenie książek wyszłych na widok publiczny w upłynionym roku wiele znajduje się zdań trafnych, na które każdy zdrowo na rzeczy patrzący, a pojmujący potrzeby kraju, zgodzić się musi, i zważać nie będzie na trochę szorstką i zbyt jaskrawą formę, w jakiéj wypowiedziane zostały.

Każdy również, mający jaką taką znajomość literatury polskiéj, zgodzi się, że po obrachunku całorocznym okazuje się skromniutki rezultat we wszystkich gałęziach piśmiennictwa naszego. W części bibliograficznéj Rocznika wcisnęły się bez wątpienia pewne niedokładności i opuszczenia, niemniéj jednak rezultat ten, niestety, prawdziwy. Nic, albo bardzo mało ukazało się dzieł oryginalnych, któreby godne były czegoś więcéj, jak prostéj bibliograficznéj wzmianki.

Pocieszamy się jednak tą myślą, że wykaz drukowanych książek, jaki nam Rocznik podaje nie jest zupełnym wyrazem naszéj działalności literackiéj. Dziś nie w książkach oddzielnych, ale w pismach peryodycznych zogniskowało się całe nasze życie umysłowe, i tam go, szukać też śledzić i badać należy.

Nie wchodzimy w powody, czem się to dzieje, zaznaczamy tylko fakt, objawiający się nie tylko u nas, ale i w innych krajach.

Ztąd byłoby do życzenia, aby *Rocznik* zwrócił uwagę na tę okoliczność i w przyszłorocznéj swéj publikacyi zechciał tak oryginalnych, jak i ważniejszych tłomaczonych dzieł, rozpraw i artykułów rozproszonych po różnych pismach peryodycznych, za-

mieścić tytuły w swoim wykazie bibliograficznym a wtedy i obraz naszéj literatury stanie się pełniejszym—prawdziwszym. Naturalnie zachodu i pracy będzie więcéj, objętość *Rocznika* znacznie się zwiększy, ale w tym samym stosunku zwiększy się jego pożyteczność tąk dla czytelników, jak i dla piszących.

J. P.

Pogadanka.

Rozkoszny Maj, woniejący bzami i czeremchą, rozpoczął panowanie równie słoneczną pogodą, jaką nadspodziewanie Kwiecień nas obdarzył. Ciepło wzmaga się, kąpiących w Wiśle przybywa, ogródki zapełniają się goszczącymi, tysiące Warszawiaków spieszy na majowe wycieczki, a roślinność tak się wzmaga, że ogrodnicy tracą głowę nie mogąc robocie nadążyć.

Deszczu jednak ani kropelki, rosę mamy tylko z wieści to też w ogrodzie Saskim dzięki powłóczystym sukniom, gromadom dziatek..... i tak zwanym ulepszeniom, chmury pyłu stale zawieszone w powietrzu, duszą i prześladują nie zostawiając nawet jednego kącika do swobodnego oddechu.

Z sukniami rozprawią się kiedyś nożyczki, moda użyje ich z pewnością lub wzgląd na oszczędność, ale z ruchliwą rzeszą dziatek i zwierzchnością ogrodową trudniejsza sprawa. Jak tu młode nogi zmusić aby chodziły wolno, a uporczywych przekonać, że ogród Saski nie powinien być miejscem fabrycznych popisów tylko zbiornikiem świeżego powietrza, powstającego nie z gruzu, cegieł i wapna, ale z jak najbardziéj rozwiniętéj roślinności do czego rżnięcie trawników na nowe przejścia wcale się nie przyczynia.

Dawniéj pamiętano o tem: mieliśmy w grzędach ogrodowych gąszcz prawie leśny, a przy nich woń przecudowną, ciszę niemal wiejską, gwar ptasząt i cudne powietrze, którem się nie można było dość nacieszyć.

Dziś z wniesieniem teatru letniego....... niebezpieczna to kwestja. Warszawiacy przepadają za przedstawieniami teatralnemi w lecie i wyczekując z niecierpliwością chwili ich otwarcia, zabawiają się sztukami małp i pudli i jedzców cyrku Salamońskiego. Małpy w nich, pudle i konie, zwyczajnie jak stworzenia Boże, ale gimnastycy, to tylko pokręcać głową i podnosić ramiona.Skoczyć drugiemu na plecy, stanąć na nich, wyprostować się i posłużyć niejako za drabinę do wdrapania się trzeciemu, na to dość kilku sekund. Gdyby gimnastyka mogła podobnie kształcić głowy ludzkie, cóż to mielibyśmy za mędrców nieporównanych. Wprawdzie jest ich i tak dosyć, gdzieindziéj liczą ich zaledwie na dziesiątki; u nas wkrótce i tysiące nie wystarczą, a choć ze wszystkich razem zebranych i jednego prawdziwego nie wykroi, zawsze liczba wiele znaczy.

Trudno zatem pojąć, na jakiéj zasadzie Wieniec w artykule p. J. N. czas obecny nazywa epoką przerażającéj mierności. Pracowników, powiada, dużo, zadrukowanéj bibuły stosy, a dzieł talentu ilość nieskończenie drobna. W poezji chłód albo zapał sztuczny; męki ubogiéj fantazji która torturowana przez autora dziwolągi rodzi, przerażająca emfaza a brak prostoty....... W literaturze dramatycznéj nie już mierność ale pustki zupełne, humorystyka zjadliwa, negatywna...... Mógłbym do słów tych dodać kilka i swoich, ale dajmy pokój: złe złem się trawi.

Teatr wystąpił z Marją Stuart Słowackiego, dramatem historycznym, nie mającym jednak nic wspólnego z tragedją tegoż nazwizka Szyllera. W utworze tym jak naówczas młodego pisarza bo niespełna lat 23 wieku liczącego, mieści się bardzo wiele niedostatków ale jest i mnóstwo pierwszorzędnych zalet. W zeszłym roku jedno z porywczych piór, zazdroszczące wszystkim wszystkiego, a więc i oklasku artystom dramatycznym, powstało z największą zajadłością na część publiczną, jaka im zwykle po cwierć wiekowéj pracy bywa okazywana. Odmówiono im nawet potrzeby kształcenia, domagając się tylko pokaźnéj postawy, wyrobionego głosu, silnéj klatki piersiowéj i smiałości w szastaniu się na deskach scenicznych. O ile błędnem jest powyższe zdanie, dramat Słowackiego najlepiéj dowodzi. Jakich że to bowiem potrzeba studji, jakiego wcielenia się w ducha poetycznego utworu, aby na scenie:Nick w sarkazmie swym był mędrcem a nie błaznem którego nosi szaty: Marja nie wstrętną, Botwel nie prostym zbrodniarzem, a paź wolnym od ckliwéj sentymentalności.

Wszystkie te role jako główne powierzone zostały pierwszorzędnym sceny naszéj artystom: Marją przedstawiła pani Modrzejewska. Nicka p. Królikowski, Botwela p. Swieszewski, pazia pani Bakałowiczowa. Artyści pojąwszy myśl autora, nawet wybrykom zbyt rozbujałéj fantazji potrafili nadać cechy prawdopodobieństwa, i z taką zdolnością tak umiejętnie cieniowali wszystkie namiętności powołane do działania, że całość jakkolwiek porwaną, zlali w jeden piękny obraz i wywoływali nawet tam efekt gdzie nie było do tego odpowiednich materjałów.

Rozważając ten obraz zdrady, przeniewierstwa i rozszalałych namiętności z takim talentem przedstawiony przez naszych artystów, mimowoli nasuwa się do myśli uwaga jednéj z naszych Czytelniczek, powstającéj na szkodliwość ogłaszania szczegółów przestępstw kryminalnych, z których opisem dość często w pismach perjodycznych spotkać się można. Jaki bowiem może być cel tego? — Zaspokojenie prostéj ciekawości? — Ależ ciekawość w inny sposób powinna być zużytkowaną, a mianowicie na powiększenie zapasu pożytecznych wiadomości i podniesienie moralne. Zasób wiedzy świadomością zbrodni pożytku żadnego nie odniesie, moralność zaś na szwank wielki zostaje narażoną. Pisma codzienne szczególniéj Kurjery, czyta prawie każdy co tylko umie czytać, zarówno małoletni jak dojrzały człowiek, i to różnego stanu i stopnia wykształcenia. Kto zaś czytać nie umie dowiaduje się z wieści, z rozmowy o zdarzeniach więcéj głośniejszych, które jako szkarada, jako rana społeczna mimowoli obudza zajęcie i skłania do powtarzania. Wprawdzie w opisach tych mieszczą się zawsze uwagi ochydzające występek, ale dowiaduje się o nim i taki, co nawet nie przypuszczał, aby coś podobnego mogło się przytrafić. Złe więc wsiąka w niego, oswaja się z niem, dowiaduje się o przeróżnych sposobach posługujących do zadowolenia zemsty, chciwości, i sprawiedliwa może powstać obawa, czy ich w razie danym nie użyje, ale już roztropniéj i z większą oględnością.

Mniejsza już o trucicielkę nieoględnych włościan, za przysługę podwiezienia pozbawiającą życie i rabująca ich mienie, bo ujawnienie podobnéj zbrodni zapobiega jéj ponawianiu się i uczy ostrożności, ale jaką kto korzyść odniesie gdy się dowie, o zbrodni piastunki, macochy, złéj żony, niegodziwego męża lub: że syn świętokradzką rękę podniósł na własną matkę, aby prędzéj stać się spadkobiercą jéj mienia? Występki podobne niech giną na wieki w ludzkiéj niepamięci, archiwa sądowe jedynem dla nich miejscem lub pismo specjalne prawnikom poświęcone. Społeczność dzisiejsza za nadto przesadzonem realizmem zarażona, aby oględność nie była tu potrzebną. Z warstw wyższych niby inteligentnych spływa ona już na ciemne massy, i gdy pierwsi frymarczą wszystkiem, prawdą, sumieniem, udanem poświęceniem, kłamaną miłością dobra powszechnego, massa ciemnych coraz więcéj przysparza jednostek, które w pomysłach przywłaszczania cudzéj własności, dają już dowody takiego dowcipu, że mogą walczyć o lepsze z najprzebieglejszemi rzezimieszkami całéj niemal Europy. Tych konceptów w okradaniu dosyć można się naczytać w obu Kurjerach, są one zupełnie w swojem miejscu, ale od kradzieży do zbrodni granica bardzo malutka, wszystko więc co ją może zniszczyć usuwać troskliwie należy.

Różne wiadomości.

Oświata ludowa. Kurator okręgu naukowego wileńskiego, zawiadamiając jenerał-gubernatora wileńskiego, kowieńskiego i grodzieńskiego, o wnioskach wystosowanych na zjeździe dyrektorów szkół ludowych w drugiem półroczu roku zeszłego, względem obmyślenia środków dla powiększenia płacy nauczycieli ludowych, żądał zawiadomienia, czy można i w jakiem stopniu oczekiwać urzeczywistnienia pomienionych wniosków. Na to jenerał-adjutant Potapow odpowiedział. 1) Że jeszcze poprzednik jego, jenerał piechoty hrabia Murawiew, w celu zapewnienia lepszego utrzymania powołanym do północno-zachodniego kraju nauczycielom szkół ludowych, wydał 10 kwietnia 1863 r. rozporządzenie, aby pomienionym nauczycielom, oprócz uiszczanej płacy, wydawane były z magazynów zapasowych po 6 czet. mąki rocznie i odpowiednia ilość kaszy, a nadto, aby gromady wiejskie dawały im mieszkanie z opałem. Obok tego, polecono było wezwać gromady do udzielenia nauczycielom tych szkół strawnych pieniędzy po cztery ruble miesięcznie. Rozporządzenie to ponowione zostało przez jenerał-adjutanta von Kaufmana, a z decyzji jenerał adjutanta Potapowa z dnia 10 października 1871 roku, rozciągnięte zostało i do nauczycielek szkół ludowych. Nakoniec, przekonywając się z odezwy kuratora, że w gubernjach wileńskich i grodzieńskiéj z powyższego utrzymania korzystają niektórzy tylko nauczyciele szkół ludowych, i to bardzo nieregularnie, jenerał-adjutant Potapow zalecił gubernatorom przedsięwzięcie środków do ścisłego i koniecznego wykonania powyższych rozporządzeń; i 2) Że wszystkie szkoły ludowe w powierzonym mu kraju, stosownie do ustawy tychże szkół i na mocy § 72 instrukcji z d. 6 lutego 1863 roku, mają już wydzielone grunta na ogrody w wysokości 1 diesiat, a w rzadkich tylko wypadkach ½ diesiatyny.

KORESPONDENCJA.

Panu M. Dow... Syl... nadesłane wiersze: *Do rzeki i Do ładnéj*, nie mogą być pomieszczone w Tygodniku.

Pani E. Tu. Suknia może być ufarbowaną tylko, na kolor czarny lub brązowy. Koszta wyniosą rs. 3.

Pani Julji Brze. W N. 23 Tyg: Mód dołączone zostaną wzory, najświeższych modeli bielizny dla dzieci.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek.

ALBINA.

STUDJUM POWIEŚCIOWE,

Z NOTATEK AUTORA

UŁOŻYŁ

JAN ZACHARJASIEWICZ.

(Dalszy ciąg.)

XIII.

Nic bardziéj nie charakteryzuje człowieka, jak to, co on pisze dla siebie. Dla tego bardzo słusznie ktoś powiedział. że z jednéj kartki zagubionéj dzienniczka można otworzyć całego człowieka.

Miałem teraz przed sobą cały plik zapisanych papierów—dla czegóż nie mógłbym z nich odmalować sobie człowieka, który mnie w téj chwili interesował?

Zamknąłem więc szczelnie całe pomieszkanie i zasiadłem do tych papierów z pewną rozkoszą, jak smakosz do upragnionéj potrawy.

Spotkał mnie jednak ten sam los, który nie jednego spotyka smakosza. Pierwsze dania nie były mi do smaku.

Na samym wierzchu znalazłem luźne kartki zaczętych i nieskończonych poezyjek, były to wierszyki zwyczajne, jakie każdy młodzieniec pisze do albumów znajomych i nieznajomych panien.

Po tych próbkach poetycznego talentu następowały rozprawy prozą. Niektóre z nich zakrawały na rozprawy naukowe, inne zawierały pierwsze rozdziały projektowanych romansów, powieści i nowellek.

Odczytałem kilka stronnic każdego rapsodu, ale nic szczególnego w nich nie znalazłem. Autora porywała co chwila jakaś fantazja dziwaczna, odbiegał od zamierzonego przedmiotu, a w końcu zupełnie znowu go tracił. Żadnéj nowéj myśli tam nie było, wszystko już dawno po tysiąc razy lepiéj wypowiedziane.

Próbki te jednak charakteryzowały o tyle piszącego. że zdradzały w nim człowieka, który prawdopodobnie niepoświęcał się nigdy zawodowi literackiemu. Były one niejako chwilowym produktem jakiejś psychologicznéj choroby, która w ten sposób usiłowała wyjść jak wrzód z głębi duszy.

Coś tego człowieka nagle dotknęło, coś go zraniło, i z rany sączył się ból, z którego on chciał utkać szatę poezji.

Ale ból ten był bólem osobistym, jak się z wszystkiego wydawało, i nie miał owych akordów ogólnie ludzkich, któremi gra prawdziwa poezja.

To też produkta tego bólu były tylko mrzonkami i uczuciami pojedynczego człowieka i mogły co najwięcéj należeć do pospolitego zbiornika owych niezliczonych wierszy i elokubracji, jakiemi w ostatnich czasach tak hojnie obdarza nas nasza literatura.

Przerzuciłem spore poszyty tych próbek literackich, ale prócz banalnych narzekań na świat i ludzi, nic w nich godnego uwagi nie znalazłem.

Po nich następowały pojedyncze sceny jakichś beztytułowych dramatów, tragedji—a nawet w końcu, jakby na wyszydzenie wszystkich poprzednich działów, nastąpiła jakaś płaska krotochwila, która nader poważny przedmiot przewróciła stronę komiczną do góry, jak to za zwyczaj czynią operetki Offenbacha.

Był to produkt niesmaczny i okazywał, że autor mimo wysoko zakrojonéj zrazu liryki, był już bliskim bankructwa całego swego idealizmu.

Po téj farsie nastąpił dosyć spory zeszyt, który miał dziwny tytuł: „Wizerunek".

Przerzuciłem kilka kartek. Było to coś pamiętnikowego, coś na sposób spowiedzi lub wyznania.

Czy to był utwór artystyczny, czy autobiografja samego piszącego?

Mogło być i to i to. Autor mógł własne dzieje swoje zebrać i je jako utwór artystyczny zestawić, albo mógł naśladując Getego urozmaicić je poetycznemi dodatkami niewypowiadając bynajmniéj, jak tamten, że to: „*Wahrheit und Dichtung!*

Postanowiłem więc cały ten poszyt przeczytać z uwagą.

****Urodziłem się w pięknéj obszernéj dolinie—czytałem w tym pamiętniku—nad brzegiem dużéj rozkosznéj rzeki.

Widzę jeszcze dzisiaj ten biały, mały dworek, otoczony ogrodem i gospodarskiemi budynkami.

Na obszernem dziedzińcu była studnia z długim żórawiem, którego skrzyp jeszcze dzisiaj słyszę.... widzę małe stadko owiec, cisnące się do koryta, w którem je pojono....

Widzę tego białego barana z zakręconemi rogami, ktory nad tem stadem panował i zawsze był pierwszym czy to do paszy czy do obrony owiec przeciw psom wiejskim, których po za dworkiem było bardzo wiele.

Widzę tego poczciwego Janka z długim biczem, któremu poruczoną była ta gromadka potulna i posłuszna....

Poczciwy Janek sadzał mnie nieraz pokryjomu na tego białego barana a ja drżałem z radości i wyobrażałem sobie, że jestem rycerzem i jadę na boje!...

Na prawo od studni był szpichlerz pod gontem a pod nim lamus, do którego prowadziły drzwi żelazne.

Te misterne, symbolicznemi hieroglifami okute drzwi lamusu, były dla mnie przedmiotem najdziwaczniejszych fantazji.

Szpichlerz ten bowiem stał na tak zwanem pałaczysku, a lamus tworzyły dawne pałacu piwnice.

Pałac zburzyli kiedyś Tatarzy a późniejsi ludzie z pozostałych gruzów wystawili szpichlerz—bo dnie wojny i najazdu minęły a nastały dni pługa i rydla!

O pozostałych piwnicach z dawnego zamku opowiadano różne rzeczy których słuchałem z wielkiem zajęciem, osobliwie gdy w domu ojca nie było, a stara szafarka nademną opiekę miała.

To też drzwi żelazne lamusu miały dla mnie tyle tajemniczości, zamykały tak dziwne rzeczy, że ile razy koło nich nawet śród dnia przechodziłem, czułem zawsze dreszcz zimny na całem ciele! Wieczorem lub w nocy, za nic w świecie nie byłbym się odważył przejść tamtędy, mając nawet święconą wodę przy sobie.

Matka moja odumarła mnie, gdy miałem lat pięć. Edukacją moją od tego czasu zajął się stary pułkownik, daleki nasz krewny, którego ojciec z przyjaźni i szacunku trzymał przy sobie.

Pułkownik miał lat sześćdziesiąt kilka, był jednak jeszcze czerstwy i rumiany, starannie podkręcał wąsy do góry a łysinę zakrywał sposobem tak kunsztownym, jakiego nie byłby się powstydził najbieglejszy fryzjer.

Widzę go jeszcze dzisiaj przed sobą! Wysoki, barczysty, z dużym halsztukiem pod szyją. Stał i siedział tak prosto jakby był gwoździem do deski przybity. Na czole miał zawsze marsa, i był tak łagodnym w obejściu jakiego nigdy drugiego nie widziałem. Osobliwie z kobietami umiał tak słodko rozmawiać, że prawie wszystkie lubiły go aż do szaleństwa, a nawet w nim się kochały!

Pułkownik uczył mnie różnych rzeczy, ale każda lekcja kończyła się zawsze opowiadaniem jakiejś przygody wojennéj z czasów ostatniéj kampanji, zastosowanéj do mego pojęcia.

Raz pamiętam przy historji świętéj zapytał mnie nagle z najeżonym wąsem:

— Co byś ty robił Pawełku, gdyby się drzwi lamusu nagle otworzyły i ztamtąd wyjrzała do ciebie bardzo ładna panienka?

— Pocałowałbym ją w rękę, odpowiedziałem tak jak to wujaszek zawsze robi.

Pułkownika nazywaliśmy w domu wujaszkiem.

— Ba, mówił daléj pułkownik, a gdyby ta panienka od ciebie się cofnęła?

— Poszedłbym za nią.

— Jak to? W głąb ciemnego strasznego lamusu?

— Poszedłbym!

— I nie zadrżałaby na tobie skóra?

— Gdyby tam ona była to jużbym się niczego nie bał!

Pułkownik pokręcił głową, musnął po wąsach a uderzywszy mnie po ramieniu, rzekł do mnie:

— Dobrze chłopcze!

Nie wiem czy pułkownik wiedział w téj chwili, kogo pod tem słowem „ona" rozumiałem!...

Miałem wtedy lat siedm czy ośm.

O miedzę z mająteczkiem ojca graniczył obszerny majątek pana Mansweta, najbogatszego obywatela w całéj okolicy.

Ojciec mój rzadko bywał u pana Mansweta, ale pułkownik prawie co drugi dzień tam chodził.

Różne były powody do tak częstych odwiedzin. Najprzód pan Manswet był tetrykiem i wtedy tylko był znośnym gdy grał wista. Pułkownik grywał wybornie w tę grę.

Powtóre pan Manswet cierpiał na łamanie w kościach, a pułkownik znany był w całym powiecie z fabrykacji pewnego „arcanum", które miało być specyfikiem przeciw wszystkim bólom.

W tych wycieczkach do pana Mansweta, które zawsze odbywały się pieszo, brał najczęściéj mnie z sobą.

Cierpiał bowiem mimo swego wszechwładnego specyfiku na serce: obawiał się ataku w miejscu gdzieby ani ludzi ani ratunku nie było. A że droga do Jedlnéj prowadziła przez długi pusty parów, nie było więc dla niego bezpiecznie, przebywać ten parów samemu, bez żadnego towarzysza.

Tym sposobem przy panu pułkowniku byłem i ja częstym gościem w domu pana Mansweta i dobrze mi się tam działo.

Pan Manswet był także wdowcem W domu prowadziła mu gospodarstwo krewna nieboszczki żony

i miała oraz nadzór nad jego jedynaczką, którą w tym wizerunku „Mirandą” nazwę, tak jak ją pułkownik zawsze nazywał........

Miranda była dwa lata młodszą odemnie.

Nie będę opisywał jak wyglądała, jakie miała oczy lub usta. Wszystko to niczem jest, ani kolor włosów ani oczów nie wpływa na wyrażenie tego co w kobiecie pięknem nazywamy. Któż wie, co właściwie przyczynia się do tego, że nas ta lub owa kobieta zachwyca?

Otóż i ja nie dam tutaj fizycznego wizerunku małéj Mirandy, bo najpyszniejszy taki wizerunek nie odpowiadałby nigdy temu wizerunkowi, jaki w mojéj duszy dotąd pozostał.

Był to jeden z tych aniołków Rafaela, które nas zachwycają, chociaż nie wiemy, czy temi dużemi oczami, czy to pozą zamyśloną, przy któréj podpierają rączkami główki swoje?...

Gdy pan Manswet grał z pułkownikiem wista, ja w drugim pokoju pod nadzorem panny Albertyny bawiłem się z Mirandą.

Zabawy nasze były różne. Oglądaliśmy razem obrazki, stawialiśmy z kawałków drzewa fortece i pałace, graliśmy w orzechy i migdały.

Często zrobiłem dla niéj w domu jakąś zabawkę pod dyrekcją pułkownika, który był mistrzem w podobnych rzeczach, i sprawiłem jéj nią najprzyjemniejszą niespodziankę.

Była między nami jakaś dziwna sympatja, jakiéj trudno znaleźć między dziećmi. Dzieci są zazwyczaj egoistami. Zazdroszczą drugim lepszych sukien, kąsków lub zabawek. Przychodzi z tego powodu nieraz do starcia, kłótni i płaczu.

Z Mirandą nie sprzeczaliśmy się ani razu. Ani razu nie powstała w nas żądza posiadania tego, co się drugiemu dostało. Przeciwnie jeżeli które z nas spostrzegło, że drugiemu podobało się to lub owo, to chętnie oddawało jedno, aby drugiemu tem przyjemność sprawić.

Taka sympatja łączyła nas z sobą. Przy Mirandzie nabierałem może więcéj wyższych uczuć niżeli nauka pułkownika dać mi je mogła.

Przypominam sebie, razu jednego bawiliśmy się jak zwykle w drugim pokoju. Pani Alberta wyszła gdzieś do gospodarstwa domowego, a myśmy zostali sami.

W téj chwili, otwartemi drzwiami od ogrodu wszedł czarny, w podartéj odzieży cygan.

Cyganów bałem się strasznie. W powieściach szafarki, jakie mi w wieczorach zimowych opowiadała, odgrywali oni rolę niepospolitą. Fantazja moja zaludniała niemi ów lamus podziemny z żelaznemi drzwiami. Jeżeli coś strasznego sobie wyobrazić chciałem, miałem zawsze cyganów na pierwszym planie.

Szafarka opowiedziała mi nieraz, że cyganie porywają dzieci, smarują je smołą i wychowują potem jako swoje.

Widok więc cygana zatrwożył mnie niepospolicie. Włosy stanęły mi na głowie a serce prawie bić przestało.

Mogłem jednak łatwo salwować się od niego: kilka dobrych skoków, a byłbym w pokoju w którym półkownik grał w karty z panem Mansweten.

W téj chwili jednak — powiadam to wyraźnie nie chodziło mi o mnie...

Cały mój przestrach odnosił się —do Mirandy!

Postanowiłem poświęcić się za nią!

Z blaszaną szabelką, którą miałem od półkownika postąpiłem śmiało naprzeciw cygana i byłem gotów dać życie za Mirandę!

Niechże tę scenę wytłomaczą mi ludzie, którzy powiadają, że w życiu ludzkiem nie ma żadnych tak zwanych wyższych uczuć nad interes własny!... Niechże ci ludzie wytłomaczą mi, zkąd, się w małem chłopięciu wzięła ta odwaga, która kazała mu lekceważyć życie w obronie małéj istoty dojrzewającéj w ideał życia naszego?... Jakież względy światowe działały wtedy, że te dwie istoty zbliżyły się ku sobie tak pięknem, wzniosłem uczuciem?

Uczucia tego nie można było nazwać miłością, bośmy o niéj najmniejszego nie mieli wyobrażenia, ale któż może powiedzieć, gdzie i jak ona się zaczyna a gdzie kończy?..

Cóż natchnęło mnie wówczas do tego bohaterskiego kroku? Co mi dodało siły, żem zwalczył mój strach, i wyrobiłem sobie żądzę zginąć za Mirandę?...

Niestety! Drobna to napozór scena mogłaby nieraz i w dojrzałem życiu naszem się powtórzyć, gdybyśmy wychowaniem światowem nie pozbawili się tego uznania, które mnie wtedy ogarnęło bezwiednie!

Cóż wtedy robiła Miranda? Jakież było jéj uczucie, gdym z wyciągniętą szabelką stał przed cyganem w niebezpieczeństwie życia?

Mogła z mojéj ofiary skorzystać, mogła w kilku skokach salwować się do bezpiecznego fortu, gdzie ojciec z półkownikiem grał w karty!..

Byłoby to bardzo naturalnem, a nawet każdy dzisiejszy tak zwany realista uznałby krok ten za stosowny i przyzwoity.

Miranda jednak tego kroku nie uczyniła.

Prawdopodobnie działała na młodziutkie jéj serce moja postawa bohaterska... każde bowiem podniosłe uczucie mężczyzny wywołuje podobne w kobiecie.

Miranda postanowiła razem ze mną zginąć!

Rzuciła się ku mnie zamiast do otwartych drzwi drugiego pokoju, objęła mnie swojemi rączętami za szyję i przycisnęła się do mojéj piersi!

Czyż nie była ona w téj chwili obrazem pięknéj, szlachetnie czującéj kobiety?

Czyż w tym młodziutkim ideale naszym, nie grały już tu piękne boskie instynkta, które zamieniają kobiety na bohaterki?

Czyż ten aniołek ze zwiniętemi jeszcze skrzydłami nie okazał w téj drobnéj scenie jasno, jakie jest jego przeznaczenie na przyszłość?.

I cóżeście wy zimni karłowaci ludzie zrobili z tego aniołka, coście zrobili dzisiaj z kobietą?

Cożeście jéj dali zamiast tego szlachetnego instynktu, który rodzi bohaterki, zamiast tego gorącego uścisku, który największą trwogę zamienia na najwyższą rozkosz i prowadzi ją aż do pogardy życia?.

Daliście jéj pokost zewnętrzny artystki salonowéj, zrobiliście z niéj niewolnicę drobnych foremek automatu sztucznie poruszanego!...

Kobieta wasza to ideał — egoizmu!..

. . . .

Miranda stała tak przy mnie chwil kilka.

Czułem jak jéj młode serduszko biło przy mojéj piersi, czułem że to bicie jak stal z krzemienia wydobywało z mojéj duszy jakąś płomienną żądzę śmierci i poświęcenia!

Téj chwili nigdy nie zapomnę! Zawsze z rozkoszą wracać będę do tego wspomnienia, choć ono dzisiaj jak sęp Prometeusza wydziera mi po kawałku duszę moją!...

Miranda stała i coraz więcéj zaciskała rączęta swoje...

Zdaje się, że cygan, który niczyjéj śmierci nie żądał, tylko prawdopodobnie coś sobie chciał przyswoić, tak był tą sceną wzruszony, że zamiast uciekać lub zabijać, upadł na kolana i swoim językiem płaczliwie o coś prosić zaczął.

Pan Manswet wyszedł i krzyknął na służbę. Pułkownik tymczasem, widząc nas stojących obok siebie i szabelkę w mojem ręku, sięgnął prędko do kieszeni, rzucił coś cyganowi a do mnie rzekł ruszając wąsami z zadowolenia.

— Dobrze chłopcze!

I zapewnie w téj chwili odgadł, o kim myślałem wtedy, gdy mi o lamusie ciemnym prawił, i kto mógł być ta „ona” za którą nie lękałbym się iść w podziemia!...

XIV.

Czytałem daléj w manuskrypcie:

...Od téj chwili opanowała mnie jakaś dziwna, nie określona żądza widzenia codziennie Mirandy.

Serce biło mi gwałtownie gdy pułkownik gotował się do odwiedzin pana Mansweta. Czyściłem mu sam furażerkę, rozwijałem starannie złożone rękawiczki łosiowe, zapinałem pętlice u kurtki, podawałem kij do ręki, aby tylko jak najprędzéj stanąć u kopców Jedlnéj, zkąd już można było widzieć ogród i dwór pana Mansweta.

A czasami gdy był dzień niepogodny, a pułkownik mimo swego wszechwładnego specyfiku cierpiał na podagrę i do Jedlnéj iść nie mógł — wymykałem się z domu pod jakim bądź pozorem, biegłem do ostatniego najwyższego kasztana w ogrodzie, drapałem się na sam wierzchołek, aby ztamtąd choć szczyty drzew i dach dworu obaczyć, w którym była Miranda!

I niechże mi kto powie, cóż grało wtedy w mojéj piersi? Czy dzisiejszy młodzieniec realista jest w stanie poświęcić jednego papierosa dla kobiety? Czy z wszelkiemi formami towarzyskiemi, zaręczony tęskni dzisiaj tak do swojéj narzeczonéj, jak ja tęskniłem do téj chorągiewki na dachu sąsiedniego dworu, po któréj drapałem się na szczyt kasztana?

To dziecinne, braterskie uczucie nie było jednak bez wzajemności.

Widziałem dobrze że Miranda podzielała je ze mną. Widziałem jak jéj oczy błyszczały rozkoszą, gdy obaczyła okrągłą furażerkę i wysoki halsztuk pułkownika!.. Widziałem, jak się rozkosznie z nim pieściła, jak serdecznie go całowała... i przeczuwałem, że te pieszczoty po części dla mnie były wyszafowane!..

Jakże mile szczebiotała mi o kwiatkach swoich, o swoim chorym kanarku, o nowych zabawkach które ze stolicy przesłała jéj ciotka, pani Szambelanowa..

I zabawa wspólna tak nam słodko upływała tak prędko mijały godziny i robry przez Mansweta przegrywane, że z zapartym oddechem słuchaliśmy szelestu kart, ażali się już nie skończyło?

Na tę chwilę smutną, chwilę rozstania miała Miranda zawsze coś dla mnie przygotowanego. Był to najczęściéj jaki kwiatek, róża lub goździk który mi przy pożegnaniu na drogę dawała..

Nigdy jednak nie trzymała tego kwiatka daleko od siebie. Najczęściéj przypinała go do sukni lub w tykała we włosy, a potem dopiero wyjmując dawała mi go z uśmiechem i zachwycającem wejrzeniem.

Czyż i w tem nie był ów piękny instynkt kobiecy? Cóżeście dzisiaj zrobili z tym instynktem?

I dzisiaj daje kobieta wasza kwiatki na pamiątki, ale daje je z kokieterji, aby niemi trochę podrażnić a potem śmiać się, śmiać się aż do łez aż do spazmów.

To też i te kwiatki wasze dzisiejsze nie są dla nas tem czem były dla mnie goździki i róże Mirandy!... Wasze kwiatki padają jeszcze w oczach waszych na ziemię, a goździki Mirandy szły ze mną do mego domu i tam pielęgnowane były póty, póki ostatni listek z nich nie opadł....

Raz wydarzyło się, że pułkownik mimo wyżytych

trzech flaszek swego specyfiku leżał przez cały tydzień chory na reumatyzm.

Przez cały tydzień nie widziałem Mirandy!

Wprawdzie codziennie dwa razy drapałem się na kasztan i ztamtąd dach sąsiedniego domu widziałem, ale to nie wystarczyło mi teraz.

Postanowiłem biegnąc pędem dotrzeć aż do samego ogrodu i tam przez żywy płot zajrzeć aż do głębi téj alei, po któréj nieraz z Mirandą biegałem.

Wykonałem mój zamysł pewnego pochmurnego dnia, w którym pułkownik trochę drzemał, a ojciec mój w interesach gospodarskich wyjechał do lasu.

Zaparłem oddech w piersi, zacząłem biegnąć.

Biegłem co mi sił starczyło, biegłem bez przestanku nie oglądając się na żadną stronę.

Wbiegłem w pusty, długi parów...

W tym parowie bezludnym nawet pułkownik czasami się niepokoił, osobliwie gdy za krzakiem obaczył jakiego człowieka...

Ja trwogi nie czułem, choć nie miałem więcéj jak dziesięć lat.

Nie wiedziałem nawet, że przez parów biegnę, bo myśli moje były w ogrodzie Jedlnéj, w ciemnéj alei.

Wreszcie dobiegłem do żywego płotu.

Wspiąłem się na palcach, aby przez płot zajrzeć w głąb ogrodu w środek alei cienistéj.

I kiedy tak chwilę stałem i z zaparty w oddechu w głąb ciemnéj alei patrzałem... ujrzałem zdala zbliżający sę biały punkt, który w moich oczach rósł, coraz więcéj rósł w zbliżającą się dziewczynkę..

Była to Miranda. Miała białą powiewną sukienkę, fijołkowy kwiatek we włosach i bladą różę wpięte.

Biegła szybko jak spłoszona sarneczka do żywopłotu, zkąd był widok na drogę prowadzącą do naszéj wioski.. stanęła nagle na najwyższym punkcie alei, a podnosząc lewą rączkę do czoła, patrzała długo na daleką, wychodzącą z parowu drożynę...

— Mój Boże! pomyślałem sobie — toż ona tak sam o tęskni za mną jak ja za nią! Toż ona tak samo przykłada do czoła swoją drobną rączkę, jak ja siedząc na szczycie kasztana! ..

O gdybyście widzieli te małą rączkę u czoła, gdybyście widzieli jak na drobnych nóżkach wspierała się do góry, aby więcéj horyzontu obaczyć, aby kogoś na téj drożynie ujrzeć!...

Popatrzcie na dzisiejszą kobietę!.. Patrzcie i ona patrzy przed siebie ciekawie kto do niéj się zbliża ale patrzy nie tylko w jedną stronę, jak patrzała Miranda!.. Wasza dzisiejsza, kobieta ma kilka horyzontów, i oblicza starannie który byłby dla niéj stosowniejszy, zyskowniejszy... który dałby jéj więcéj zaszczytów towarzyskich, więcéj zbytków, które uniewinniając swoje sumienie, koniecznemi potrzebami życia nazywa!... Przy takim rachunku musi serce milczeć, a skazane raz na milczenie zamiera!....

I chciałem już kolczasty żywopłot jednym skokiem przesadzić, chciałem bez względu na ciernie pójść po tę bladą różyczkę, którą Miranda w ręku prawdopodobnie dla mnie trzymała—gdy nagle obróciła się i jak płochliwa gazella na skręcie ciemnéj alei zniknęła!..

Przypominam sobie bardzo dobrze, jak bolesne uczucie opanowało wtedy serce moje....

Nie wiedziałem, że to bolesne uczucie jest tylko początkiem téj boleści, którą w życiu dojrzałem. Cierpiemy przy każdym zawodzie, przy oddalaniu się od nas ideałów naszych!..

Zdaje się, że tutaj na ziemi jest już naszym losem, że wyśnione ideały odbiegają nas i pozostawiają po sobie żal i boleść!... Otóż Opatrzność przygotowuje nas zwolna do téj boleści i zaprawia nas do cierpień, z których potem mogłoby pęknąć serce nasze!...

Czyż domyśliłem się wtedy, że owo za żywo płotem doznane uczucie bolesne, było podobne do jednéj z lekcji pułkownika, które miało moją duszę powoli przyzwyczaić do tego, co mnie w dojrzałem życiu czekało?

Dla czegoż Miranda odemnie odbiegła? pytałem siebie poraz dziesiąty medytując ukryty za płotem ogrodu—dla czego tak nagle zwróciła się w inną odemnie stronę?.. Czy ją kto odemnie odwołał, czy sama to uczyniła?... Czy odeszła na głos nauczycielki, wypełniając obowiązek posłuszeństwa, czy tylko ot tak sobie z pustoty?... Może ukryty nad drzewami ojciec nakazał jéj odwrót, może pani Alberta przywołała ją po wystrofowanie, że zadaleko zaszła?...

Ileż to głębszych myśli spoczywało w tych dziecinnych zapytaniach? Ileż to razy podobne zapytania stawiają się w wieku dojrzałym, a jakże inną mają one wtedy donioslość!...

Czyż człowiek nie jest już w dziecięciu tak samo zupełnym jak zupełnym jest mały chrząszczyk ze zwiniętemi w swojéj łupinie skrzydełkami?..

Zaprawdę Diderot powiedział: pokażcie mi jeden palec u nogi człowieka zakrytego, a ja wam powiem czy jest garbaty czy nie?.. I słusznie powiedzieć można: pokażcie mi małe dziecię, a ja wam powiem, jaki człowiek będzie z niego!...

Ba! Gdyby temu dziecięciu pozwolono tak wyrość, jak rość zaczęło! Gdyby nie ściśnięto go ciasną sznurówką dla tego, że moda dzisiejsza takiéj a takiéj figury wymaga! Gdyby nie wypleniono starannie tego, co tam Bóg posiał, a nieposiano natomiast chwastu, o którym lud mówi, że go djabeł na przekorę Bogu sieje!..

Smutny, przybity wracałem od płotu. Zawsze jednak oglądałem się, czy się Miranda jeszcze nie zjawi—a nawet wracałem się z zakrętu, czy się jeszcze nie pokaże!...

Czyż i ta drobna scena nie jest miniaturowym obrazem naszego dojrzałego życia? Czy nie oglądamy się za ideałami, które nas odeszły? Czy niezawracamy z zakrętu dróg naszych, aby choć raz jeszcze popatrzyć się na miejsce z którego zniknął nasz ideał?...

Wróciłem do domu smutny i zamyślony. Wieczerza nie smakowała mi, anegdotki pułkownika nie mogły mnie rozśmieszyć, jak to dawniéj czynić zwykły.

— Do pioruna! Cóż ci to chłopcze? zapytał pułkownik.

— Smutno mi! odpowiedziałem.

— Smutno? Do pioruna! A cóż tobie ma być smutno?

— Smutno mi, że Napoleon przegrał bitwę pod Watterloo, o któréj mi wujaszek wczoraj opowiadał!

— No, no, chłopcze uspokój się! odpowiedział pułkownik głaskając mnie pod włos, jak to było jego zwyczajem—Napoleon choć przegrał pod Waterloo, zostanie zawsze Napoleonem—a ty jak raz w czem przegrasz, to już będzie po tobie! Pamiętaj o tem!

Nie wiem dla czego, ale zrobiło mi się tak smutno jakbym rzeczywiście przegrał!..

Z tego dziecinnego okresu pamiętam jeszcze jedno wrażenie, którego dotąd zapomnieć nie mogę.

Dotąd miała Miranda tylko bonę szwajcarkę. która z nią po francuzku rozmawiała. Piérwszych zaś nauk udzielała jéj pani Alberta, jako też i początków gry na fortepianie.

Teraz zatrzymano bonę dla dozoru, a z Paryża sprowadzono guwernantkę z prawdziwym paryzkim akcentem.

O ile ją późniéj w dojrzalszym wieku poznałem, była to osoba nader płytkiego wykształcenia. Miała lat trzydzieści kilka i nie była zamężną. Przeszłość jéj była niewiadomą, chociaż późniéj złe języki utrzymywały, że była jedną z tych wysłużonych bohaterek, które młodszy Dumas tak często na scenę wyprowadza, a co mu u dowcipnych krytyków zjednało tytuł: „blanchisseur des grisettes".

Panna Antonina jak ją powszechnie nazywano, wzięła teraz w opiekę młodziutką Mirandę, aby z niéj zrobić przyzwoitą kobietę.

Oprócz paryzkiego akcentu, było główną zaletą nowéj nauczycielki, że miała umieć rysować, czemu jednak pułkownik z wielkim ferworem zaprzeczał.

Mimo to jednak rozpoczęła się nauka rysunków. Miranda w pewnych godzinach miała przed sobą cały sekstern z wzorami litografowanemi, które kazano jéj ołówkiem kopjować! Panna Antonina nadzorowała te lekcje czytając Paul de Kocka.

Lekcje te złościły zawsze pułkownika. Mówił nieraz do pana Mansweta, że to tylko blaga francuzka a nic więcéj, że panna Antonina nic rysunku nie rozumie.

I mnie irrytowały lekcje, ale z innego powodu.

Nie chciałem aby Miranda w czem różniła się odemnie. Chciałem zawsze być z nią wszędzie razem, chciałem również tak samo rysować jak ona!

Powiedziałem raz o tem pułkownikowi. Pułkownik nie tylko ucieszył się nadzwyczajnie z moich chęci, ale chciał oraz głupiéj francuzce pokazać jak się to uczy rysunku i jakie o nim powinno być pojęcie!..

Pułkownik rysował także i utrzymywał, że rysował bardzo dobrze.

Nastąpiła więc żywa emulacja między francuzką a pułkownikiem, z któréj bardzo byłem zadowolony.

Miranda rysowała liście i kwiaty—mnie wprawiał pułkownik w rysunek koni i chartów.

Ztąd wywiązała się również emulacja między mną a Mirandą. Siedziałem po całych godzinach nad rysunkami, aby w niedzielę okazać Mirandzie moje postępy i dowieść jéj, że chce jéj we wszystkiem dotrzymać kroku, że ona ze mnie mogłaby zrobić i artystę!..

Po pół roku miałem już ładną kollekcję rozmaitych rysunków, między któremi przeważnie powtarzał się Napoleon na koniu w różnych sytuacjach życia.

Napoleon był ulubionym bohaterem pułkownika. Nad niego nie było człowieka. Narysować dobrze Napoleona, znaczyło u pułkownika być artystą ukończonym.

Doprowadziłem nawet w téj Napoleoniadzie, że za pomocą pułkownika wyrysowałem i wycieniowałem piórem attak ułanów naszych na baterje pod Samossiera z Napoleonem w perspektywie!...

Była to niemała radość w domu ojca mego. Ojciec mój zaprzątniony gospodarstwem nie badał postępów moich w rysunkach, aż naraz uderzony został tak znakomitym produktem, jakim był attak pod Sammossiera!..

(d. c. n.)

BOHATER PIÓRA

PRZEZ

E. WERNERA

TŁOMACZONE Z NIEMIECKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Spóźnione popołudniowe słońce pogodnego dnia wrześniowego, przyświecało przez gęstym liściem pokryte gałęzie wyniosłych, odwiecznych kasztanów, osłaniających ulice i murawę rozległego parku, ciągnącego się za zamkiem S. jedną z tych przepysznych siedzib wiejskich, w jakie wnętrze Francji tak jest bogate. Zamek ten, położony na zachodniéj pochyłości wysoko piętrzącego się pasma gór, które w tym właśnie punkcie w całéj swojéj dziko-romantycznéj przedstawiają się piękności, równie jak i w blizkości jego znajdująca się wioska tegoż nazwiska, przeznaczone zostały na kwaterę wojskową. Jeden z nadreńskich pułków landwery, uczestniczący we wszystkich bitwach sierpniowych, wysłany był tutaj celem oswobodzenia gór sąsiednich od harcujących w nich wolnych strzelców i utrzymania na drogach i w wąwozach potrzebnej komunikacji. Było to bardzo niebezpieczne i niespokojne stanowisko dla niezbyt licznego oddziału, który znacznie od główniejszych sił oddalony, prawie codzienne zniewolony był robić wycieczki w góry, a przytem z największą bacznością chronić się zasadzek i napaści nieprzyjaciela, które miejscowość niezmiernie ułatwiała. Żołnierze stali we wsi, gdy tymczasem oficerowie mieli kwatery w tuż dotykającym do niej zamku, którego mieszkańcy w inne przenieśli się strony. Ci panowie zdawali się w obecnej przynajmniej chwili, bardzo wesołego być humoru; z tarasu bowiem rozlegały się pełne życia rozmowy i śmiechy, którym raźny brzęk szklanic wtórował.

U wejścia do parku pod jednym z tych wyniosłych kasztanów, leżał na zielonéj murawie młody oficer landwery i marząc, wpatrywał się w gęste liściaste sklepienie, przez które zniżające się słońce swoje czerwonawe drżące promienie tu i owdzie rzucało. Ani z wielką sztuką i starannością utrzymywana roślinność ogrodu, którą jeszcze całym swoim letnim przepychem jaśniał, ani też dochodzący go od strony zamku wesoły gwar towarzyszów broni, nie zdawały się wcale zwracać jego uwagi i wtedy dopiero podniósł głowę, gdy zbliżające się kroki męzkie zbudziły go z tego marzenia.

Mężczyzna lat około trzydziestu w mundurze lekarza wojskowego postępował najbliższą aleją, i ujrzawszy leżącego, zatrzymał się przed nim.

— Domyśliłem się tego! Znowu tu sobie leżysz i marzysz, kiedy ja w pocie czoła na twoją popularność pracuję! Ale co ciebie to wszystko obchodzi.

Zaczepiony podniósł się w połowie, i oparłszy się z niechcenia na łokciu, odpowiedział spokojnie. Wszakże ja mam służbę, o czwartéj muszę być we wsi.

— I dla tego już o godzinie trzeciej zniknąłeś? Nie wypieraj się Walterze, zniknąłeś dla tego tylko, że wiedziałeś,iż miałem straszny zamiar odczytania poezij, któréj odpis gwałtem na tobie wymogłem. Zresztą ta ucieczka na nic ci się nie zdała, bo mimo to za powrotem zostaniesz ogólnym przyjęty aplauzem. Nasz major wyrecytował już cały swój niewyczerpany zapas klątw i przysiąg, ażeby dowieść, że jeszcze nic podobnego w życiu swojem nie słyszał; adjutant wypalił przeciwnie długą, bardzo sentymentalną mowę na twoją pochwałę; wiesz, że to także kawałek uczonego, stawiającego się w rzędzie estetyków, a ty, od samego początku zaimponowałeś mu niezmiernie twoją nauką. Przedstawił on nam dobitnie jaką to łaskę wyświadczyły nam losy, powołując nas na towarzyszów broni poety, którego z czasem Niemcy pierwszym swoim genjuszem powitają. Śliczna, powiadam ci mowa, tylko trochę za długa. Porucznicy klną się na wszystkie bogi nieba i piekieł, że gdyby Francuzi mieli tylko jednego takiego barda, któryby ich przed bitwą podobnemi zapalał pieśniami, to więcej mielibyśmy z nimi do czynienia, najsilniejsze jednak wrażenie wywarła twoja poezja na grubego kapitana—bo dla niéj zapomniał się upić.

— Dajże pokój tym żartom, rzekł młody oficer trochę niechętnie, kładąc się znowu na murawie.

— Żartom? Daję ci moje słowo, że to com słyszał literalnie ci powtarzam. Czy słyszysz ten brzęk szklanek? Oto cały skład oficerów gwarantuje ci właśnie najuroczyściej nieśmiertelność. Jestem delegowany, ażeby naszego zbiegłego piewcę pojmać i bądź żywcem, bądź zabitego im dostawić. Gwałtem domagają się twojéj obecności.

— Oszczędź mnie, proszę cię; wiesz dobrze jak nienawidzę podobnych owacji.

— Więc znowu nie chcesz przyjść? Naturalnie! Powinniśmy się już byli do tego przyzwyczaić, wtedy się tylko pokazujesz, kiedy na służbę, albo do bitwy iść trzeba. Ty uciekasz przed każdem uznaniem twoich zasług jak inni uciekają przed karą. Od tego koniecznie odwyknąć ci trzeba Walterze, to naprawdę nie przystoi przyszłemu genjuszowi Niemiec.

Fernow podniósł się tymczasem, włożył kask, leżący obok niego na murawie i mocniéj przypiął szablę. Kto przed dwoma miesiącami widział jeszcze uczonego profesora uniwersytetu B. ten doprawdy nie byłby go teraz wcale poznał w tym młodym wojowniku, na którym mundur wojskowy tak obciśle i pięknie leżał, jak gdyby on całe życie innego nie nosił ubrania. Znikła dawna chorobliwa bladość, równie jak i sine obwódki pod oczami, znikł ów chód pochylony i wszystkie ślady cierpienia. Czoło jego i lica ogorzały od słońca, a krew żywiéj i zdrowiej jak niegdyś pulsowała pod niemi; jasne włosy, mniej troskliwie teraz utrzymywane, wymykały się bujnie z pod kasku, a niegdyś starannie wygolona broda otoczyła silnym zarostem niższą część jego twarzy; dzisiejsza po żołniersku wyprostowana postawa porucznika zdawała się najmniejszéj nie zadawać im pracy, a ręce, które naturalnie całą swoją poprzednią delikatność straciły, tem silniéj za to władały szablą. Owe sześć tygodni przebytych w polu cudów dokazały, widocznem to było za pierwszem nań spojrzeniem—i radykalna kuracja doktora Stefana przyjęła się doskonale.

— Wy wszyscy za wysoko cenicie moje pieśni, rzekł oficer zbijając swego przyjaciela. Wiersze, które chwilowe stworzyło natchnienie, zapalają też tylko w danéj chwili, a potem, gdy ustaje poruszenie, które je spłodziło idą w zapomnienie.

— Tak sądzisz? zapytał doktór poważnie. Pozwalam sobie wątpić o tem. W twoich śpiewach słychać coś więcej nad zgiełk bitew, chociaż z czasem będziesz i jemu może wdzięcznym za to, że on twój talent zbudził z uśpienia i wskazał ci drogę do przyszłéj wielkości.

— Może! rzekł Fernow smutno. A może też pierwsza kula dziś albo jutro od razu położy koniec téj całéj przyszłéj sławie.

— Czyliż się nigdy nie pozbędziesz tych smutnych myśli? zawołał doktór z pewnym rodzajem wyrzutu. Walterze, mnie się na prawdę zdaje, że ty się z jakąś nieszczęśliwą miłością nosisz w twojem sercu.

— Jeszcze czego! odezwał się Fernow żywo, zwracając się nagle w przeciwną stronę. Silny rumieniec jaki niegdyś blade jego lica za każdem silniejszem wzruszeniem oblewał, wystąpił i teraz, chociaż mniéj widocznie na ogorzałą twarz oficera.

Lekarz nie dostrzegł go jednak, z powodu szybkiego odwrócenia się przyjaciela. Był on jednym z młodszych kolegów doktora Stefana, prywatnym docentem przy uniwersytecie B. którego wojna również z właściwego stanowiska wyrwała. On i Fernow znali się dawniej tylko z widzenia, i w rzadkich ze sobą spotkaniach, zaledwie kilka słów pomiędzy sobą dotąd zamieniali. Tak było całe trzy lata. Życie wojskowe w przeciągu kilku godzin zamieniło ich na dobrych znajomych, a w parę dni późniéj na serdecznych przyjaciół.

Zawsze żywy i wesoły, młody doktór sam pierwszy się rośmiał ze swojéj myśli tak komicznéj. Jestem rzeczywiście bardzo ciekawy jak to i kiedy stać się mogło? Od czasu rozpoczętéj kampanji ani na krok jeden nie odstąpiłem od twego boku, a w B. przecież na żadną kobietę nie spojrzałeś nawet, dla tego też cała piękniejsza połowa tego miasta wyklęła cię jak najsprawiedliwiéj.

Fernow nic nie odpowiedział bo ciągle był zajęty rękojeścią swojéj szabli, która mu dziwnie jakoś zawadzała u boku.

— Jednakże Stefan nie omylił się na swojéj djagnozie, mówił daléj doktór, po chwili milczenia; lubo nie chciałem mu jeszcze wierzyć kiedy ostatni raz do H. przybył, gdzie dowiedziawszy się, że zostałem do twojéj kompanji przeznaczony poleca mi gorąco zdrowie twoje i życie, jednakże mogłem mu to z najczystszem sumieniem przyrzec, bo byłem przekonany, że niezawodnie będziesz pierwszym pacjentem, co w moje ręce popadnie. Jakoż, w pierwszym zaraz tygodniu nie byłbym dał jednego szeląga za twoje życie, ale kiedy się rozpoczęły marsze i niewygody, kiedy żołnierze nasi pod ciężkim, sierpniowym skwarem jak muchy padali, a ty ciągle jeszcze byłeś na nogach, kiedy śród wszystkich trudów i biedy, pod któremi najwytrwalsi ginęli ty stawałeś się coraz zdrowszym i silniejszym,wtedy ukłoniłem się już czołobitnie przed bystrością spojrzenia mego starszego kolegi. Zresztą, ty masz dobrą, doskonałą naturę, kochany Walterze, którą trzeba było tylko wydobyć z tego ciągłego zamknięcia pomiędzy czterema ścianami, ażeby się należycie rozwinąć mogła. I znaleźliśmy tedy najlepszy,chociaż trochę niezwyczajny środek na te twoje nerwy. Huk armat wyleczył je gruntownie. Toż to dopiero ludzie będą się dziwili po twoim powrocie do naszego miasta.

— *Jeżeli* powrócę.

Doktór poruszył się niecierpliwie.Zawsze i wiecznie te smutne przeczucia! Ty z prawdziwą namiętnością uczepiłeś się tych dziwnych przeczuć.

— Bo ja czuję co mnie spotka.

— Głupstwo! Jeżeli kto może uniknąć kuli, to chyba ty jeden! Nie bierz mi za złe, Walterze, ale tak jak ty, co w każdej bitwie darłeś się zawsze naprzód, to istne szaleństwo. Odwaga nie powinna nigdy być zuchwalstwem, ale ty nic już nie widzisz i nie słyszysz, kiedy cię twój zapał uniesie; o tem mówią wszyscy twoi towarzysze.

Fernow odpowiedział z pewną goryczą. A jednak nie ma pomiędzy nimi ani jednego, któryby mi dawniéj najzwyczajniejszą nawet odwagę przypisywał.

— Nie! rzekł doktor otwarcie. Lecz szczerze mówiąc, z początku nie było w tobie widać ani odrobiny bohaterstwa. Wyglądałeś zupełnie jak każdy zwyczajny człowiek pióra, który wygrzebawszy się dopiero z po za swoich książek, nie wiedział co począć ze sobą na świecie. Ale, zatarło się to prędko, rów-

nie jak i te mylne przekonania twoich kolegów. Wszakże, po pierwszéj zaraz bitwie wszyscy cię przeprosili.

Fernow uśmiechnął się smutnie; oczy tylko jego zachowały jak dawniéj jakiś wyraz marzenia i melancholji. W tem u wejścia do parku posłyszano jakiś szelest; były to powolne, ciężkie kroki męzkie, i z bramy wynurzyła się olbrzymia postać Fryderyka, który w żołnierskim mundurze, bardzo korzystnie uwydatniącym jego budowę, widocznie zadowolony z siebie i swego położenia, z miną zuchwałą zbliżył sie do obu panów.

— Panie poruczniku, melduję nam że we wsi stanął jakiś powóz z Anglikami, którzy przez nasze czaty chcą się w góry przedostać.

Fernow zwrócił się szybko. Marzenie i smutek znikły odrazu z jego oblicza, był teraz li tylko na służbie.

— To być nie może! Nikt tędy przechodzić nie powinien. Wszakże forpoczty ich nie puściły?

— Tak jest, ale Anglik wyrzeka straszliwie i nie chce ustąpić. Powiada, że ma papiery i żąda koniecznie rozmówić się albo z panem majorem, albo też z panem porucznikiem służbowym.

Fernow spojrzał na zegarek. Dobrze, przyjdę zaraz ja i tak muszę pójść do wsi. Będzie to jakaś nieprzyjemna sprawa, dodał zwracając się do doktora. Prawdopodobnie wypadnie odmówić choćby najspokojniejszym podróżnym, którym na dalszéj drodze wiele zależeć może, ale rozkaz jest surowy odstąpić od niego nie można.

— Zowiesz to nieprzyjemnem? rozśmiał się doktór. Przeciwnie, ja zawsze bardzo rad jestem kiedy tym szlachetnym synom Albjonu, którzy z całym swoim bezwstydem i chłodem nasz stary Ren przetrząsają, pokazać nareszcie możemy, kto to tego Renu jest prawdziwym panem. We własnym kraju nigdyśmy się jeszcze na takie rzeczy nie odważali!

— Czy pójdziesz ze mną do wsi?

— Nie, wracam do zamku. Poradź sobie jak możesz z twoimi Anglikami i z twoim dalszym tryumfem, bo ten mądry nasz ochotnik E. pewnie tam już we wsi wiedział jak sobie począć. Wyobraź sobie, że on bez ceremonji wyrwał mi twoje wiersze z ręki, by je swoim towarzyszom odczytać. Ale, słuchajno, mój Walterze, po odbyciu twego patrolu, przybądź, choćby na kwadransik tylko na nasz wyborny ponczyk. Inaczéj zginiesz bez ratunku w opinji kapitana, który sam jeden tylko wzbrania się jeszcze uznać cię za przyszłą wielkość naszą. Ty... za mało z nim pijesz.

I lekko a przyjaźnie skinąwszy głową, doktór poszedł do zamku, gdy tymczasem Fernow udał się na drogę, do wsi wiodącą, Fryderyk postępował za nim nie spuszczając z niego oka ani na jedną chwilę, lecz wyraz tego jego spojrzenia był teraz zupełnie inny. Dawniéj spoglądał zawsze na professora z ową trwogą, z jaką się patrzy na chore niedołężne dziecię, które sobie łatwo jaką szkodę wyrządzić może, teraz zaś była cicha cześć i uwielbienie w tém jego spojrzeniu, które najmniejszy ruch porucznika bacznie śledziło. Przywiązanie wiernego poczciwego chłopaka wytrzymało już nie jedną ciężką próbę, i w rocie Fernowa zamieniło się niemal w przysłowie.

Na samym początku wioski, przed progiem austerji zatrzymały się dwa powozy, które tam wkrótce jeden za drugim przybyły. Pierwszy z nich, który we wsi kwadransem pierwéj stanął, naturalnie, został pierwszy przez forpoczty zatrzymany, lecz siedzący w nim podróżny, nie chciał żadną miarą zgodzić się na to zatrzymanie; na nieszczęście nie rozumiał on niemieckiego języka a żołnierze angielskiego, musiano więc z obu stron uciekać się do bardzo niedostatecznéj francuzczyzny, co wzajemne porozumienie niezmiernie utrudniało i przedłużało. Nareszcie ów cudzoziemiec, który się ciągle na swoje papiery powoływał, tyle przynajmniéj wyjednał, że mu przyrzeczono sprawę jego właściwemu przedstawić oficerowi, i właśnie wychodził rozdraźniony długą rozmową z zaciśniętemi gniewnie brwiami z domu gościnnego, kiedy zajechał ów drugi powóz z którego także wysiadł poważny jakiś jegomość i zbliżył się do austerji. Oczy ich spotkały się,—i jeden okrzyk zdumienia wydobył się z ust obu.

— Pan Atkins!

— Henryk!

— Zkądże pan się tu wziąłeś? zapytał Alison który pierwszy ochłonął z tego zadziwienia.

— Przybywam z N. a pan?

— Ja prosto z Paryża jadę. Nie miałem odwagi dłużéj się tam zatrzymać, gdyż oblężenie stolicy Francji na prawdę się rozpoczęnie. Lecz zatrzymali mnie tutaj, i nie chcą na dalszą pozwolić podróż.

— I nas także nie chcą daléj puścić.

— Nas? powtórzył Alison zdziwiony. Więc pan nie sam jesteś? I domyślając się czegoś nadzwyczajnego, dodał spiesznie: Nie sądzę przecież że Miss Forest panu towarzyszy?

— Właśnie tak jest.

— Henryk zawrócił się jak gdyby się chciał na powrót rzucić do powozu, lecz zatrzymał się nagle. Czy się zawstydził tego mimowolnego wzruszenia, czy też tylko wspomnienie poprzedniego spotkania ostudziło go odrazu, dosyć że nie poszedł do powozu i ze spokojnością, która zbyt była zimna ażeby mogła być naturalną, odezwał się znowu do Atkinsa.

— Ale jakimże sposobem pan, a mianowicie Miss Forest przybywacie aż tutaj na teatr wojny?

Atkins spodziewał się tego zapytania i był na nie przygotowany. Jakim sposobem? Oto po prostu chcieliśmy się zbliska działaniom wojennym przypatrzyć lecz jeden tydzień był dostatecznym, ażeby nas zupełnie nasycić, i teraz jak pan widzisz, zabieramy się już do powrotu. Państwo Stefanowie będą teraz głośno tryumfowali, bo też powstawali strasznie na ten kaprys i ekscentryczność panny Forest, tudzież na moją pobłażliwość takim jéj zachceniom.

Zimny szyderski uśmiech pojawił się na ustach Alisona. Prosiłbym pana bardzo, ażebyś pod względem łatwowierności, nie stawiał mnie na równi z doktorem Stefanem i jego żoną. Jeżeli dla nich pozór ten był dostatecznym, to ja, zanadto dobrze znam Miss Forest, ażebym mógł uwierzyć podobnéj romantycznéj, bezcelowéj jéj chętce szukania —jakichś awantur. Tego rodzaju rzeczy nie nęcą, jéj wcale, a pan także nie jesteś bardzo skorym, ażebyś w takich razach podejmował się dobrodusznie roli jéj powolnego sługi.

Atkins przygryzł tylko usta, bo z góry przewidywał taką odpowiedź.

— Czy zechcesz mi pan objaśnić powód, który Miss Forest tutaj sprowadził? Zapytał Alison dobitniéj.

— Zapytaj ją pan sam o to! odparł Atkins, nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności za wygadanie się z prawdziwym celem téj rzeczywiście awanturniczéj podróży.

— Zapytaj! mruknął Henryk niechętnie, i przybliżył się do powozu.

To zjawienie się jego nie było dla Jenny żadną niespodzianką, bo stojąc w oknie, spostrzegła go już rozmawiającego z Atkinsem.

Ostatniemu z nich powiodło się nareszcie przekonać ją o niemożności spełnienia jéj zamiaru i skłonienia do powrotu ku najbliższéj stacji granicznéj, zkąd dalsze kroki przedsięwziąść miano. Miasto N. opuścili oni zaraz nazajutrz, kiedy jednoczesne wejście wojsk z Niemiec nadciągających zmusiło ich do zboczenia z głównego traktu, na którym obecnie niepodobieństwem było naprzód się posunąć i do udania się inną drogą, gdzie prosty przypadek zetknął ich z Alisonem w takiemże samem znajdującym się położeniu.

Jenny, ochłonąwszy z pierwszego wzruszenia, panowała już zupełnie nad sobą. Jakiekolwiek uczucia duszą dziewicy miotać mogły, towarzysz jéj widział już teraz tylko twarz obojętną, która, pod względem owego gwałtownego wybuchu zupełnie go uspokoiła. Otoczyła się ona znowu tymże samym lodowym pancerzem, który ją w B. tak nieprzystępną czynił — i ów straszny chłód wiejący od całéj jéj osoby, ogarnął Henryka, kiedy się zbliżył do powozu, ażeby ją powitać. Chwila ta rozstrzygnęła o całem obecnem spotkaniu; Alison mógł w potrzebie wymódz jéj rękę, którą jak już podejrzywał, tylko *prawu* jego mogła być przyznaną, ale, żeby w obec tak przerażającego chłodu jakieś tkliwsze zdradzić uczucie, na to był zbyt dumnym.

Dla tego też, z zimną grzecznością wysadził ją z powozu, i podał rękę, by ją odprowadzić do stojącej ławki, objaśniając w krótkich słowach tak ją jako i Atkinsa, że kwestja zatrzymania ich tutaj została już oficerowi służbowemu przedstawioną, tudzież że miał nadzieję, iż po przejrzeniu papierów, dalsza ich podróż żadnéj nie napotka przeszkody.

Zadowolony tą wiadomością Atkins, powrócił do powozu, by stangretowi jakichś instrukcyj udzielić. Narzeczeni pozostali sami.

Jenny usiadła na słomie; wiedziała ona, że zostanie zapytaną o objaśnienie przyczyny jéj bytności w tem miejscu, ale wcale na to nie wyglądało, ażeby tę przyczynę z całą otwartością wyznać chciała.

Tymczasem, Henryk nie bardzo się okazywał skwapliwym do zaspokojenia swéj ciekawości, gdyż wzrokiem tylko starał się czytać w jéj rysach. Próżne to było jego usiłowanie, bo panna Forest wytrzymała chłodno i spokojnie to badawcze spojrzenie. Nareszcie zapytał:

— Nie mam wyrazów na opisanie mojego zdumienia, spotykając panią tutaj. Jenny! co to znaczy?

— Nie mniejszem jest i moje zdumienie, widząc pana w tych stronach.

— W dzisiejszych okolicznościach można się było spodziewać *mojego* powrotu. Miałem zamiar udać się wprost do miasta B. gdzie spodziewałem się zastać panią niezawodnie; zdaje się przecież, że miejsce to nie dosyć dla niéj było powabnem?

Mimo przebijającéj się wyraźnie w tych słowach chęci zbadania rzeczywistego stanu rzeczy, głos Alisona zdradzał pewien rodzaj wewnętrznego zadowolenia przekonywającego, że on miasto B. uważał niebezpiecznem dla siebie, że obok całéj dziwaczności postępowania Miss Forest, chętniéj ją widział tutaj pośród ruchów wojennych, wystawioną na wszelkie niebezpieczeństwa, niżeli tam, w domu jéj krewnych.

Jenny, w ten sposób zagadniona, miała już coś odpowiedzieć, ale przybycie Atkinsa wyswobodziło ją od téj odpowiedzi, Henryk zmarszczył brwi, jednakże zdawało się, że w jego obecności nie chciał już dalszego prowadzić śledztwa. I przez jakąś chwilę, szczupłe to gronko w niemem pogrążone zostało milczeniu. Pytania: zkąd? dokąd? na wszystkich błądziły ustach, a jednak każda z obecnych osób unikała ich, by dalszych koniecznych nie wywołać objaśnień. Nareszcie Atkins, pewnie najobojętniejszy w téj chwili, rozpoczął rozmowę z innego zupełnie tematu.

— I cóż powiesz, panie Henryku o wypadkach zaszłych od czasu naszego ostatniego spotkania? Czy pan przypuszczałeś coś podobnego?

— Nie! odpowiedział krótko i zrzędnie Alison. Liczyłem zupełnie na co innego.

— I ja także! Zdaje się żeśmy się przerachowali w naszych widokach. Otóż to ten łagodny, cierpliwy niepraktyczny naród myślicieli. Ależ ja to zawsze mówiłem, że w każdym z tych Niemców tkwi coś z ich natury niedzwiedziéj, która jak się zdaje teraz jawniéj w całym narodzie na wierzch wylazła. To już nie żadna walka z jakiemś odmiennem szczęściem, oni wszystko nogami depczą, niweczą co tylko im na drodze stanie. Bezprzykładne to zgubne powodzenie!

— Poczekajmy jeszcze końca! rzekł Henryk chłodno. Wojsko najemników zostało pobite, ale rzeczpospolita powołuje kraj do broni, i teraz naród wystąpi przeciwko narodowi. Zobaczymy przecież czy ten niemiecki niedźwiedź nie znajdzie swego mistrza.

— O! chciałbym żeby go znalazł! mruknął Atkins z gniewem. Chciałbym ażeby go za jego Ren wyparto,niechby mu to zwycięzkie upojenie, to zuchwalstwo zwycięzcy raz na zawsze z głowy wywietrzało, i żeby się znowu tak spokojnie, cierpliwie tańcować nauczył, jak..

Daléj nie postąpił już Amerykanin w swoich życzliwych chęciach dla przyszłéj pomyślności Niemiec, gdyż Jenny podniosła się nagle i stanąwszy przed nim poważnie zmierzyła go wzrokiem tak groźnym, że biedak nie wiedział co począć z sobą.

— Zdajesz się pan zapominać, panie Atkins, że i moi rodzice byli Niemcami! rzekła głosem oburzonym.

Atkins stanął, jakby piorunem rażony. „Pani jesteś córką niemieckich rodziców?“ pytał machinalnie jak gdyby własnym uszom nie wierzył.

— Tak jest, ja! I ja nie zniosę, ażeby się w ten sposób o mojéj ojczyźnie odzywano. Wyszydzaj pan sam, jeżeli śmiesz jeszcze, wypowiadaj swoje chęci i nadzieje panu Alison, boć on w zupełności je podziela, ale w mojéj obecności, proszę miarkować swoje wyrazy, bo ja tego dłużéj znosić nie myślę!

I szlachetnym zapłoniona gniewem, spojrzawszy groźnie na dwóch swoich towarzyszy, odwróciła się od nich, i znikła we drzwiach austerji.

—Co to jest? zapytał Henryk po chwili zdumienia. Atkins teraz dopiero oprzytomniony trochę po zajściu, jakiego wcale nie przewidywał, odpowiedział: To wykapany ojciec; toż samo nakazujące spojrzenie, jakiem wszystkich podbijał. Ja nigdy oprzeć mu się nie umiałem, ależ ty, panie Henryku czy ty zniesiesz to wszystko? .

Alison milczał, oczy jego w chwili, kiedy Jenny stała w tak groźnéj postawie przed Atkinsem, ciężyły na niéj całym żarem namiętnego zachwytu, a i teraz jeszcze wpatrywały się ciągle w miejsce, które przed chwilą dopiero opuściła. Wyraz tego wzroku Henryka zdradzał więcéj podziwu i uwielbienia, niżeli amerykańskiego gniewu.

— Sądziłem, że pan Forest nienawidził swój kraj rodzinny, rzekł nareszcie, i że w téj dla niego nienawiści wychował także swą córkę?

— Tak jest, on całe życie swoje złorzeczył tym ukochanym Niemcom, a jednak przed śmiercią uczepił się z rozpaczą niemal wspomnień o swojéj ojczyźnie. My, panie Henryku, nigdy tych ludzi nie poznamy. Ja sam przepędziłem lat dwadzieścia w domu Forestów, dzieliłem z nimi wszystkie tak przykre jako i pomyślne chwile ich życia, znałem najskrytsze ich stosunki, a jednakże zawsze, wiecznie było coś pomiędzy nami, coś, czego najboleśniejsze przejścia, najsilniejsza wola, czego dwudziestoletnie nawyknienie w ojcu Forest wykorzenić nie mogły,i co dziś jeszcze w córce, pomimo wpływu ojca, pomimo najczystszego amerykańskiego wychowania, wyraźnie na jaw wychodzi, a czem jest właśnie ta krew niemiecka!...

Dalsza ich rozmowa została przerwaną, gdyż na ulicy ujrzano oczekiwanego oficera w towarzystwie jednego żołnierza, który się właśnie do austerji zbliżał. Henryk wyszedł o kilka kroków na jego spotkanie i przywitał go uprzejmie. Zdobywając się na całą swoją umiejętność języka francuzkiego, zaczął mu przedstawiać swoje żale, lecz po pierwszych zaraz wyrazach, zwolniał w swéj mowie, zaciął się, potem rozpoczął na nowo, urwał znowu, a w końcu zamilkł zupełnie z oczyma nieruchomie wlepionemi w oblicze młodego oficera.

I ten oficer również w pierwszéj zaraz chwili rozmowy niezwykłem przejęty zdziwieniem, cofnął się o parę kroków.

W téj chwili właśnie nadszedł do nich Atkins, który niewiadomo, czy skutkiem niespodziewanego zdziwienia, czy przestrachu zawołał niezwykłym sobie głosem: pan Fernow?

Henryk zadrżał. Wykrzyknik Atkinsa utwierdził go teraz w powątpiewanéj jeszcze pewności, czyje to oczy z pod tego niemieckiego hełmu z jego spotkały się wzrokiem. Krew aż do ostatniéj kropli zbiegła z lica młodego Amerykanina: jednym rzutem oka ogarnął to nadspodziewane zjawienie się stojącego przed nim oficera, drugim, niemniéj gniewnym spojrzał na dom, w którym obecnie Jenny się znajdowała.

Atkins przywitał się tymczasem z porucznikiem Fernowem, który spokojnie i grzecznie odezwał się do nich.

— Żałuję niezmiernie, że to na mnie właśnie spada obowiązek objawienia panom bardzo nieprzyjemnéj dla nich wiadomości, ale dalsza podróż panów jest rzeczą niemożebną.

Dróg tutejszych nikomu przechodzić nie wolno. Forpoczty nasze mają surowy rozkaz zatrzymywać każdego, ktokolwiekby je przechodzić zamierzał.

— Ależ panie Fernow, zastanów się pan, zawołał Atkins z oburzeniem. Musimy koniecznie daléj jechać, a pan nas znasz przecież, pan przynajmniéj mnie znasz dostatecznie, ażeby w potrzebie zaręczyć, że nie jesteśmy żadnemi szpiegami.

— Nie o to idzie, lecz nie wolno nam żadnych robić wyjątków od ogólnego rozporządzenia.

— Wszakże mamy dostateczne legitymacje!

— Na nic się nie zdały! Przykro mi jest, panie Atkins, ale wszystkie drogi są zamknięte i żadna cywilna osoba z naszéj strony w góry dostać się nie może. Może być, że rozkaz ten jutro zostanie cofnięty, ponieważ spodziewamy się posiłków, dzisiaj atoli, istnieje on jeszcze w całéj swojéj sile.

Atkins spojrzał na niego wzrokiem, w którym gniew jednocześnie z pewnem podziwieniem się malował.

— Skoro tak, to spodziewam się, że pan będziesz łaskaw objaśnić nas przynajmniéj, gdzie, stosując się do wysokiéj decyzji pańskiéj, noc dzisiejszą przepędzić będziemy mogli. Napowrót jechać nie możemy bo wszystkie wsie i miasta, któreśmy przebywali, przepełnione są wojskiem: naprzód nie wolno nam także się ruszyć, a tutaj we wsi trudno będzie znaleść jakikolwiek przytułek. Mamyż w powozach nocować?

— Nie będzie tego potrzeby. Czy pan... sam jesteś?

Pytanie to było może zbytecznem, gdyż poprzednia odpowiedź Amerykanina dostatecznie je objaśniała, jednakże w słowach Fernowa czuć było jakieś mimowolne wahanie.

Atkins chciał już odpowiedzieć, lecz Henryk, który teraz pierwszy raz się odezwał, uprzedził go pod tym względem, niezważając wcale na jego zdziwione spojrzenie, i rzekł stanowczo:

— Tak, jesteśmy sami.

— W takim razie, mogę panów zapewnić, że znajdziecie najgościnniejsze przyjęcie u moich towarzyszy. W zamku mamy dosyć miejsca, a znajomość nasza, tu przelotny uśmiech błysnął na jego ustach, zasłania panów od wszelkiego podejrzenia. Czy panowie pozwolą mi oddalić się na chwilkę?

Poczem przystąpił do stojącego w pobliżu szyldwachu, i z nim kilka słów zamienił.

— I to nazywało się profesorem uniwersytetu w B. mruknął Atkins niechętnie. Jaką to ten mól książkowy ma wojenną postawę, jak gdyby on całe życie swoje szablę nosił u boku. a z tych jego suchot ani śladu na nim nie dojrzysz! Ale, powiedz mi teraz, panie Henryku, dla czegoś nie przyznał, że....

— Milcz pan! przerwał mu Henryk spiesznie, pociągając go nieznacznie za rękaw. Ani jednego słowa o tem, że panna Forest jest w naszem towarzystwie.... rozumiesz pan, ani jednego słowa! Ja zaraz powrócę.

Gdy znikł we drzwiach austerji, Atkins patrząc za nim ciekawie, z dziwnym jakimś uśmiechem poruszył głową.

Teraz już i Henryk stał się dla niego prawdziwą zagadką.

Fernow powrócił tymczasem do niego. Młody towarzysz pański opuścił nas? zapytał, obejrzawszy się do koła.

— Ma on zaraz powrócić, odpowiedział Atkins, i rzeczywiście Henryk pokazał się we drzwiach zajezdnego domu. Prowadził pod rękę pannę Forest i przemawiał do niéj tak żywo i z takiem zajęciem, że ona młodego oficera, który tyłem był odwrócony, wtedy dopiero spostrzegła, gdy tuż przy nim się znalazła. W tem Fernow odwrócił się nagle.

Przez chwilę stali na przeciwko siebie w niemem zadziwieniu, jak gdyby im tchu w piersiach zabrakło. Wkrótce atoli lica Waltera zakraśniały nagle, myślałbyś, że je słońce jasnym blaskiem swoim opromieniło; niebieskie oczy jego błysnęły ogniem niewypowiedzianego szczęścia, cała postać Fernowa zdawała się być owładniętą jednem płomiennem uczuciem—chwila tego niespodziewanego spotkania zdradziła wszystko.

Ale, wrażenie to zupełnie inaczéj odbiło się w rysach Jenny. Ona, zbladła okropnie i cofnęła się przerażona, a byłaby pewnie upadła, gdyby Henryka nie było przy jéj boku. Dłoń jego trzymała jéj rękę z żelazną siłą, przyciskając ją do swych piersi tak mocno i gwałtownie jak gdyby ją złamać chciała. Jenny tego nie czuła. Wzrok Henryka utkwiony badawczo w obojgu śledził najmniejsze drgnienie w ich rysach, i twarz jego przybrała straszny wyraz nienawiści. Nie potrzeba tu już było żadnego słowa, żadnego tłomaczenia—Henryk dowiedział się o wszystkiem.

Fernow pierwszy ochłonął, on Jennę tylko widział; Alison wcale nie zwrócił jego uwagi, a tem mniéj jego zręczny podstęp. W téj chwili jedna tylko Jenny była dla niego na świecie bożym.

— Miss Forest. Nie spodziewałem się bynajmniéj, że i panią tu spotkam.

Henryk uczuł wyraźnie z ręki dziewicy spoczywającéj w jego dłoni, jak na te słowa całe jéj ciało zadrżało. Puścił jéj więc rękę a to poruszenie powróciło ją natychmiast do przytomności.

— Pan Fernow..... sądziliśmy, że pułk pański znajduje się już w drodze do Paryża,—odezwała się Jenny.

Wyrazy te brzmiały równie sucho i zimno jak niegdyś, a wzrok jéj unikał starannie jego spojrzenia. Jenny wiedziała, że gdyby się teraz ich oczy spotkały, wszystko byłoby zgubione.

I w Waltera rysach złamały się jasne promienie

szczęścia; oczy jego zamroczyły się i dawna, zimna oschłość w całem wybiła się obliczu. Odesłano nas napowrót, z poleceniem strzeżenia gór i dróg tutejszych. Oczy jego szukały jeszcze zawsze spojrzenia Jenny, ale zawsze nadaremnie.

— Więc to od pana otrzymaliśmy tę odmowną odpowiedź? Może taka surowość jest obowiązkiem pana, w takim razie uledz jéj musimy. I dobywszy ostatka sił, jakie jéj jeszcze pozostały, odwróciła się od niego i poszła schować się za plecami Atkin sa.

Usta Fernowa drżały. Była znowu taż sama zimna nieprzystępna Miss Forest, a owa chwila pożegnania, która we śnie i na jawie duszy jego nie odstępowała, z którą się we wszystkich walkach i niebezpieczeństwach nosiła, została zapomnianą wydartą z jéj pamięci. Wszakże ona była przestraszona jego widokiem, jakby widokiem jakiego nienawistnego wroga. Ów wieczór na górze zamkowéj. stanął mu znowu na myśli i podobnie jak wówczas, duma odniosła zwycięztwo nad goryczą jego żalu i on się także odwrócił.

— Fryderyku!

— Jestem panie.

— Odprowadzisz tę damę i obu panów do zamku do naszego doktora. Pan Atkins objaśni go o co idzie, a odemnie poprosisz doktora, ażeby u pana majora wyjednał czego będzie potrzeba. Wszakże pan znasz, panie Atkins doktora Behrond'a z B.? Na teraz przymuszony jestem poruczyć was moi państwo jego pieczy, gdyż moje obowiązki zatrzymują mnie jeszcze tutaj: proszę mi więc przebaczyć.

Przyłożywszy rękę do kasku, pożegnał się lekkim ukłonem dla wszystkich trojga wymierzonym, i szybkim krokiem przeszedł obok domu zajezdnego, udając się na łąkę, gdzie stały pierwsze forpoczty pruskie.

Fryderyk stanął z niewypowiedzianą radością na czele téj amerykańskiej trójki,by do zamku zaprowadzić Nie zrozumiawszy ani jednego słowa z angielskiej rozmowy, przekonany był jak najmocniej, że występni ludzie których mu porucznik pod straż oddał, co najmniej szpiegami lub zdrajcami być musieli, że zatem od należytego ich pilnowania los i bezpieczeństwo całego pułku zawisł. Przejęty więc ważnością danego mu zlecenia, wyprostowany jak trzcina i z głową dumnie w górę wzniesioną, ruszył naprzód, gotów przy najmniejszem okazaniu chęci ucieczki dać ognia do przeniewierców.

Szczęście, że Amerykanie nie mieli wcale myśli. uciekania. Młodsza para postępowała za nim w milczeniu nie mówiąc ani jednego słowa do siebie; Atkins tylko patrząc z ukosa na dodaną eskortę bąkał z szyderstwem.

— Patrzaj, toć to pan Fryderyk! jesteśmy więc oddani w jego ręce na łaskę i niełaskę.

Fryderyk spojrzał nań dumnie, z całem poczuciem własnéj godności. Wiedział on dobrze, że był chwilowo panem ich losu, ale złagodniał nieco widząc, że ten napuszony Amerykanin rzeczywiście pojmował godność pruskiego żołnierza.

— To mój porucznik tak rozkazał! odpowiedział z przyciskiem, a skoro mój porucznik wie o waszéj sprawie, to wam się krzywdy nie wyrządzi.

— Zdjąłeś mi kamień z serca, panie Fryderyku, mówił znowu Atkins ironicznie. Jestem waćpanu niezmiernie wdzięczny za takie uspokojenie mojéj obawy, że nas przecie ani do lochu nie wtrącą, ani w kajdany nie okują. Ależ mój panie, ta nagła przemiana twego porucznika wydaje mi się niemal bajeczną. Pan profesor został prawdziwym bohaterem od stóp aż do głowy. Jego uczona wysokość zna się widać doskonale teraz na komendzie, a wyrazami: czaty, forpoczty, rozkazy, koledzy, tak szafuje na wszystkie strony, jak gdyby się w obozie wychował, nie za biórkiem pisarskiem. Gdzież ta uczona wysokość zostawiła swoją dawną nieśmiałość i roztargnienie.

— W mieście B. rzekł Fryderyk sucho, przy swoich książkach.

Na taką odpowiedź, Atkins spojrzał nań z pewnem pomięszaniem. Daj go katu! Dzisiaj i ten chłopak zaczyna już być inteligentnym! mruknął gniewnie. Jeszcze tylko tego było potrzeba! Ta sławiona przez Atkinsa inteligencja, miała wkrótce ciężką przebyć próbę. W dziesięć minut później, Fryderyk stanął na tarasie zamkowym, gdzie, z wyjątkiem majora, który chwilowo w zamku się znajdował, reszta oficerów pułkowych siedziała gwarząc wesoło pomiędzy sobą. i Fryderyk, krokiem miarowym, z całą żołnierską powagą przystąpił do doktora.

— Przychodzę od pana porucznika Fernowa. Przysyła on tutaj panu doktorowi trzech szpiegów, i prosi pana doktrora o wyjednanie u pana majora dalszych względem nich rozporządzeń.

— Czyś ty oszalał? zawołał doktór śmiejąc się głośno. Cóż mnie szpiegi obchodzić mogą? Chyba oni są ranieni!

— Nie! Wszyscy zdrowi najzupełniéj.

— Mój Fryderyku! Musi to być jakieś świeże twoje głupstwo. Odezwał się kapitan, wysączając z namysłem resztki ze swojéj szklanicy. Więc porucznik wyprawił cię do pana majora?

— Nie, do pana doktora miałem tych Amerykanów odstawić, mówił Fryderyk uporczywie: bo pan doktór zna ich z naszego miasta B. Pomiędzy niemi znajduje się także siostrzenica pana doktora Stefana ta, jakaś tam amerykańska panna.

— Miss Forest! zawołał doktór zrywając się z krzesła.

— Na wszystkie bogi Olimpu, co to za szczęśliwy chłopak ten nasz Walter! Jakiś dziwny przypadek oddaje mu w ręce wysokiéj wartości zdobycz wojenną a on, nie troszcząc się o nią wcale przesyła nam ją pod strażą. Takich rzeczy, to już chyba jeden tylko Walter Fernow na całym świecie dopuścić się może.

— Miss Forest? Któż jest Miss Forest? Objaśnij nas kochany doktorze, pytano ciekawie ze wszystkich stron tarasu.

— Nie zatrudniajcie mnie panowie waszemi pytaniami! odparł doktór skwapliwie. Zdaje mi się, że mam tutaj jakąś dziwną pomyłkę sprostować. Czy chcecie wiedzieć kto jest Miss Forest? Jest to bliska krewna naszego pierwszego doktora w B., młoda Amerykanka, mająca ośmnaście lat wieku i miljonowy posag, że jest piękna jak anioł, słowem cudne zjawisko przed którem całe nasze miasto na kolana padało, a do którego nieszczęśliwych wielbicieli i ja się także zaliczam. Oddaj się Bogu w opiekę, Fryderyku, jeżeliś się jakiejkolwiek względem tych osób dopuścił niegrzeczności.

Poczem wyszedł pospiesznie. Jednakże krótki ten życiorys panny Forest, zelektryzował całe towarzystwo. Słowa: miljonerka, lat ośmnaście, piękna jak anioł, były potężnemi bodźcami dla młodszych serduszek oficerów, dziwić się też nie można, że cała młodzież tłumnie wybiegła na spotkanie tak cudownego zjawiska. Nawet ów estetyczny adjutant podniósł się uroczyście i poszedł za drugimi. Sprawa zdawała się być dziwnie romantyczną.

— Fryderyku rzekł otyły kapitan, zostawszy sam jeden przy niedokończonéj jeszcze szklance ponczu: Fryderyku toż ty znowu jakieś szalone głupstwo popełniłeś!

Fryderyk stał z otwartą gębą, widząc się złajanym i strąconym z wysokości wielkiego o sobie rozumienia. Spojrzał naprzód pomięszanym wzrokiem na bramę parku, gdzie właśnie jego szpiegów z największem uszanowaniem i grzecznością przyjmowano, a potem spojrzawszy smutnie na siedzącego przed nim oficera i pochyliwszy głowę pokornie wyjąkał nieśmiało:

— Na rozkaz, panie kapitanie!

Fernow, licząc na gościnność swoich towarzyszy wiedział dobrze co przyrzekał. Major zatwierdził w ostatniéj instancji jego zawyrokowanie. Dalsza podróż nie mogła być pod żadnym pozorem dozwoloną, lecz za to zgodzono się najchętniéj, ażeby cudzoziemcy, którzy nie mogli rzeczywiście we wsi znaleść schronienia, a jednakże przez blizką swoją znajomość z dwoma oficerami pułku dostatecznie byli wylegitymowani, dostali na noc pomieszczenie w zamku, gdzie pewna liczba wolnych, a wspaniale urządzonych pokoi była jeszcze do rozporządzenia.

Na nieszczęście jednak, nadzieje młodszych panów oficerów, bliższego poznania zajmującéj milijonerki zupełnie ich zawiodły. Widzieli oni tylko, że doktór miał słuszność nazywając ją młodą i cudnie piękną, gdyż miss Forest nie okazała się wcale skłonną do przyjmowania ich hołdów. Znużona bowiem i zniecierpliwiona podróżą, zaraz po nieuniknionych przywitaniach i przedstawieniach udała się do wskazanego sobie pokoju. Doktór Behrend zdawał się być zasmuconym, inni zaś byli widocznie rozdrażnieni zbyt prędkim odwrotem młodéj damy, która rzeczywiście wyglądała bardzo bladą! Kilka bowiem słów które do nich wymówiła z tak widocznem przyszły jéj wysileniem, że niepodobieństwem było pozbawiać ją spoczynku, którego pozornie przynajmniéj bardzo potrzebowała. Dwaj towarzysze Amerykanki nie mogli pójść za jéj przykładem, i odrzucić bez posądzenia o niegrzeczność, uprzejmego wezwania do przyjęcia udziału w niedawno co napoczętéj wazie ponczu. Atkins błyszczał tu jak zwykle swojemi sarkastycznemi dowcipami, które dzisiaj daleko jeszcze były żywszemi, z powodu, że poczytywał sobie za obowiązek łagodzić niemi ponure, uporczywe milczenie Henryka. Wprawdzie usprawiedliwiała w tym względzie Alisona jego nieznajomość języka niemieckiego, jednakże, nawet grzeczność doktora, który mu się chętnie za tłomacza ofiarował, zaledwie z niego kilka niezbędnych wydobyć umiała odpowiedzi. Doktór składał także winę tego ciągłego urywania rozmowy na swoją kulejącą angielszczyznę, i pocieszał go nadzieją prędkiego powrotu swego przyjaciela Fernowa, który doskonale tym językiem władał, ale wtedy Henryk zaciskał usta jeszcze mocniéj, prosząc z zimną grzecznością, ażeby na niego wcale nie zważano. Zresztą i Fernow przedłużał swój patrol nieskończenie, gdyż nie można go się było wcale doczekać. Tymczasem major otrzymawszy jakieś ważne doniesienie, skinął na adjutanta i razem z nim się oddalił: to było hasłem do rozejścia się i dla innych oficerów, skutkiem czego, obaj Amerykanie wolni od dalszego przymusu, udali się również do swego mieszkania, które podobnie jak mieszkanie panny Forest znajdowało się na pierwszem piętrze. Oficerowie mieli kwatery na dole, by na przypadek alarmu we wsi prędzéj pod ręką być mogli. Atkins czując się nareszcie wolnym od wszelkiego przymusu, upadł na sofę, odetchnąwszy pełną piersią. Henryk w głębokiem pogrążony milczeniu, zaczął niecierpliwie przechodzić się po pokoju. Daremnie jego towarzysz oczekiwał na pierwsze słowo, na jakiekolwiek zdanie o zaszłych wypadkach, Alison ani myślał przemówić i z założonemi na krzyż rękoma, biegał ciągle od drzwi do okna w uporczy-

wem pogrążony dumaniu. To długie milczenie zniecierpliwiło nareszcie Atkinsa.

— Dłużéj tak być nie może, panie Henryku! zawołał nagle. Rzecz tę trzeba już raz przecież wyjaśnić. Widziałeś pan równie dobrze jak i ja tę dziwną scenę we wsi. Co pan o niéj myślisz?

Alison zatrzymał się i podniósł głowę. Po co pan tu przybyłeś z miss Forest? zapytał opryskliwie.

— Panie Henryku, proszę bardzo....

— Po co pan tu przybyłeś z miss Forest? Zapytał Alison powtórnie, ale tym razem w głosie jego przebijała się tłumiona wściekłość.

— Po co? — dla załatwienia interesów familijnych.

Henryk rozśmiał się gorzko. Oszczędź pan sobie niepotrzebnego kłamstwa. Wiem teraz wszystko!

— To w takim razie wiesz pan więcéj odemnie, odparł Atkins poważnie. Ja przynajmniéj tę scenę w części tylko zrozumiałem. Ten Fernow.... cóż, uczucia jego nie potrzebują żadnych objaśnień, objawił on je w swojem zdumieniu dosyć wyraźnie, ale dla czego miss Jenny na jego widok tak się przeraziła, jak gdyby widmo jakie spostrzegła, tego pojąć nie mogę.

— Ani ja! rzekł Alison z zimną ironją. Zwykle nikt się nie przestrasza ujrzawszy nareszcie to, czego się długo i z takim trudem szukało.

Atkins zmarszczył czoło. Szczęście, że Miss Jenny pana nie słyszy, bo tego podejrzenia nigdyby panu nie przebaczyła. Pan utrzymujesz że ją znasz zbyt dobrze, abyś ją mógł posądzić o jakieś bezcelowe awanturnicze szukanie kogoś, a teraz obwiniasz ją z ubliżeniem dobrych obyczajów i wszelkiéj przyzwoitości, o gonienie za jakimś obcym jéj człowiekiem! Czy pan sądzisz że Miss Forest zdolną jest zapomnieć się do takiego stopnia? Wstydź się, panie Henryku.

Alison nie oburzył się bynajmniej pod takim zarzutem; w głosie jego przebijało się zawsze jeszcze zimne szyderstwo.

— Wiem, rzekł po chwili, że Miss Forest umarłaby raczej niżby miała *dla mnie* jaki najmniejszy krok uczynić. Dla niego, to...co innego....wszakże to nie pierwszy raz na takich niebieskich, marzących oczach skruszyła się duma kobiety.

— Tego już za wiele! zawołał Atkins w największem rozdrażnieniu. Przyrzekłem milczeć, ale w obec takiego oskarzenia i Jenny by przemówić musiała, a jeżeli ona nie chce, ja to uczynię. Tak jest, szukaliśmy tu kogoś we Francji, przyjechaliśmy za pewnym człowiekiem, ale ten człowiek nie nazywa się Fernow i właśnie panu nie daje najmniejszego powodu do zazdrości. Człowiek ten nosi nazwisko panny Forest, jest ... jéj bratem?

— Jéj bratem? powtórzył Henryk z wielkiem zadziwieniem!

— Tak! I Atkins zaczął mu teraz w krótkich, lecz jasnych słowach opowiadać tajone dotąd przed nim okoliczności, ostatnie zlecenie zmarłego ojca Jenny, odnalezione ślady w Hamburgu i czynione od tego czasu poszukiwania aż do wyjazdu z N. Henryk słuchał tego wszystkiego w głębokiem milczeniu; przez chwilę zdawał się swobodniéj oddychać, ale czoło jego zachmurzone nie rozpogodziło się bynajmniéj.

—Masz pan słuszność! rzekł nareszcie głosem ponurym. Wierzę teraz, spotkanie to nie było przynajmniéj umówionem.

Atkins spojrzał na niego z niemem zdziwieniem. Więc to już było wszystko? On się spodziewał zupełnie innego przyjęcia powyższych zeznań.

— Zdajesz się pan całkiem zapominać, jak blizko ta sprawa i pana samego obchodzi, rzekł po chwili namysłu, młody Forest żyje, jak się teraz okazało. Według wszelkiego prawdopodobieństwa mamy uzasadnioną nadzieję odszukania go, co jeżeli nastąpi stracisz pan połowę swego przyszłego mienia.

— Doprawdy? mruknął Alison z gniewem. Oddałbym jeszcze i drugą jego połowę, ażeby ona na tę niemiecką ziemię nigdy nogą nie była stąpiła.

Atkins cofnął się nagle. To przechodziło już wszelkie jego przypuszczenia. Jeżeli Henryk mógł przestać być kupcem, jeżeli on o stracie majątku w taki sposób mógł mówić, o! to już rzecz była niezmiernéj wagi, rzecz wymagająca spiesznego zaradzenia. Zbliżył się więc do niego i położywszy rękę na jego ramieniu:

— Zazdrość pana zaślepia, rzekł głosem pojednawczym.

— Cokolwiek pomiędzy obojgiem zachodzić może, a jest to bezwątpienia tajemnica jakaś, to w żadnym razie co Jenny dla niego uczuwa, miłością być nie może i jéj przerażenie w chwili tego niespodziewanego spotkania, mogło być każdem innem uczuciem, ale nie uczuciem miłości.

Alison spojrzał na niego zimno i z ironją. Nieszczęśliwy pan jesteś w swoich spostrzeżeniach, panie Atkins. Któż to pierwszy drwił z moich przeczuć w B. kiedym w tym suchotniczym profesorze widział pewne niebezpieczeństwo dla siebie? Czy on się panu zawsze jeszcze wydaje tak śmiesznym i małoznaczącym, albo czy pan wiesz nareszcie i teraz, co w tym człowieka jest ukrytego?

— Przerachowałem się względem niego, ale wzywam każdego, ażeby mi trafnie ocenił człowieka, który przez długie lata udaje samotnego pustelnika i uczonego, a potem nagle staje się poetą, a w wojnie, gdzie według wszelkich ludzkich przypuszczeń za pierwszym strzałem armatnim uzmrećby powinien, wyrabia się na bohatera i przy jakiemś niespodziewanem spotkaniu rozpłomienia się jak ośmnastoletni marzyciel. Wszakże ja mówię, że my tych Niemców nigdy należycie nie poznamy.

Raz wyrwani ze zwykłéj kolei życia, wchodzą na wcale nieobliczone szlaki; tak robi cały naród. Rzuciwszy pióro w kąt, wydobywa szablę z pochwy, jak gdyby całe życie nic innego nie robił. Zdaje mi się że my jeszcze i za sto lat nie zapomnimy, w jakiéj to ręce pióro spoczywało!

Atkins wypowiedział to ze szczególnym tonem rozdrażnienia, lecz w porę jeszcze sobie przypomniał, że podobne spostrzeżenia nie bardzo były stosowne do uspokojenia jego młodego towarzysza, o co mu przecież głównie chodziło, porzucił więc nagle ten przedmiot i dodał:

— Zresztą, jakkolwiek ta sprawa wypadnie, Jenny będzie pańską żoną. Masz pan jéj słowo, dała ci je dobrowolnie, a Forestowie zwykli danego słowa dotrzymywać sobie i drugim. W jaki bądź sposób ten Fernow stanąłby na jéj drodze, znam ją, ona mimo to wszystko twoją tylko będzie żoną.

— Będzie moją! rzekł Alison głosem stłumionym lecz pewnym, bądź o tem przekonany, panie Atkins! Czy z jéj, czy mimo jéj chęci, moją być musi niezawodnie, choćby nawet, tu rysy jego przybrały wyraz strasznéj nienawiści, choćby nawet jaka para niebieskich oczów na zawsze zamknąć się musiała.

Atkins wzdrygnął się przerażony, ale nic nie odpowiedział. Zmierzch wieczorny zbliżał się coraz spieszniéj, ze wsi dochodziły przeciągłe głosy capstrzyka. Henryk porwał się z miejsca i uchwycił za kapelusz. Wtedy starszy jego towarzysz przyskoczył nagle do niego i ujął go za rękę.

— Gdzie pan idziesz?

— Na świeże powietrze, do parku.

— Teraz? Już zupełnie ciemno.

— Mniejsza o to, muszę wyjść, jabym się udusił tutaj. Może... i uśmiechnął się dziko, może ztamtąd z lepszemi powrócę myślami. Dobranoc!

Wyrwawszy nagłem poruszeniem swą rękę, opuścił pokój. Atkins spokojnie patrzał za odchodzącym.

— Będzie nieszczęście. Jeżeli się teraz z sobą spotkają! Głupstwo dodał urywając nagle. Jak gdyby to Henryk był tak szalonym, ażeby honor i życie dla jakiegoś zazdrośnego kaprysu narażać. Jeżeliby Fernowa gdzieś samotnie w górach napotkał, nie ręczyłbym za niego; ale tu pośród jego towarzyszy, gdzie odkrycie nieomylnem, a zemsta bezwłoczną by była,— nie, na to on się nie odważy!

Otworzył drzwi i nadstawił ucha ku przeciwnéj stronie, gdzie leżał pokój Jenny. Przybywszy do swego pokoju zamknęła się, donosząc mi przez drzwi tylko, że się już położyła,—to udanie! Słyszałem wyraźnie jéj szybkie kroki po pokoju, ale na nic by się nie zdało usiłować gwałtem do niéj się dostać; rozmówić się z nią nie można, a jéj pośrednictwo mogłoby jeszcze sprawę pogorszyć. Ba! tu zimny spokój Amerykanina przytłumił wszystkie jego obawy. Starać się będę, ażebyśmy jutro jak najraniéj wyruszyli, mniejsza o to gdzie, choćby w najgorszym razie napowrót do N. Jak tylko tego nieszczęśliwego Fernowa z oczu straci, łatwo potem przyjdzie, utrzymać ich zdala od siebie, tymczasem zaś.... przecież tę jednę noc mogą jeszcze pod jednym dachem przepędzić.

Po tych słowach Atkins zamknął drzwi od swego mieszkania.

W zamku po wesołym gwarze i ruchu popołudniowym panowała teraz zupełna cisza. W kwaterze majora paliło się już światło, adjutant z jednym oficerem znajdowali się u niego, reszta zaś porozchodziła się do siebie, gdyż obszerny salon na taras wychodzący, w którym się zwykle wieczorem wszyscy zbierali, był zupełnie pusty, obecnie uwijał się w nim jeden tylko Fryderyk, zajęty, dla rozpędzenia dającego się już uczuwać zimna wieczornego, rozpalaniem ognia w kominie. Czynność tę spełniał z widoczną niechęcią mrucząc pod nosem na nieobecnego margrabiego pałacu, który mimo wyraźnego rozkazu, znowu zaniedbał zapalić i sam nigdzie znalezionym być nie mógł.

Nareszcie udało mu się nagromadzone drzewo podpalić; płomień buchnął jasno w salonie i Fryderyk zatopił się w głębokich spostrzeżeniach nad bezpożytecznością francuzkiego narodu w ogólności, w szczególności zaś nad niepoczciwością tego francuzkiego marszałka dworu, kiedy uczuł lekkie dotknięcie swego ramienia, a obejrzawszy się, ujrzał Miss Forest stojącą tuż przy swoim boku.

— Czy pan Fernow już powrócił?

— Powrócił, odpowiedział Fryderyk niezmiernie zdziwiony tem pytaniem, powrócił przed dziesięciu minutami.

— Proszę mu tedy powiedzieć, że pragnę z nim pomówić.

Fryderyk jeszcze bardziéj się zadziwił. Z moim panem?....

— Pragnę z nim mówić. Tak jest! Oświadcz pan, że czekam tu na niego. Proszę się pospieszyć.

(d. c. n.)



N. 1. Suknia i Vêtement. Kostium Forma „Grossi" na arkuszu z krojami N. I. Fig. 1—6. Zobacz przód kostiumu rycina 13.

N. 2. Stanik z baskiną i tiuniką. Kostium „Luna." Krój na arkuszu z formami N. III, Fig. 10 — 16. Tył kostiumu ryc. 2 w N. 15 T. Mód.

N. 3. Płaszczyk do podróży lub od deszczu. Forma na arkuszu z krojami N. XI Fig. 52—53. Plecy płaszczyka ryc. 21, ułożenie podpięcia ryc. 22.

N. 4. Ubranie małéj panienki. N. 5. Paletocik dla młodych osób.



N. 6. Suknia z batystu i muślinu.

N. 7. Suknia z wyciętym stanikiem garnirowana

N. 8. Suknia z batystu albo materji z falbanami muślinowe-

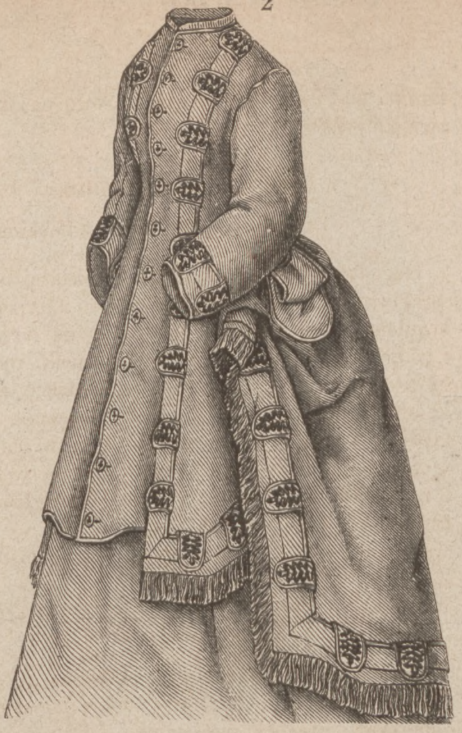
N. 9. Suknia z tiuniką i stanik z baskiną. Zobaczyć krój do ryc. 1 w N. 5 Tyg. Mód.

N. 10. Kostium „Flora" z Vêtement. Zobacz formę do ryc. 1 w N. 18 Tygodnika Mód.

Opis do N. 19.



N. 11. Krótki pale tot z podwójnymkołnierzem marynarskim. Krój kołnierza podług N. 6 lub 8 w N. 18. Tyg. Mód. Opis na arkuszu z formami N. XV.



N. 12. Vêtement przystrojone patkami. Rysunek do N. 1. podany z przodu, z odmianą w garnirunku.



N. 13. Paletocik z krótką pelerynką. Krój i opis na arkuszu z formami N. XV. Fig. 65.

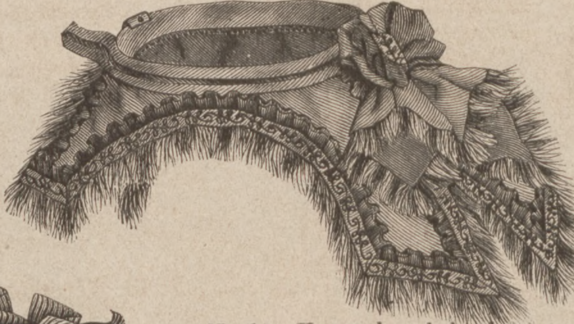
Dalszy ciąg opisu N 1 i 13.

Przefałdowanie tylne przy końcu stanu, ułożone podług wzoru, przykryte jest dodaniem potrójnych plis 5 cent. szerokich i 20 długich. Każde z przepięć zakończających plisy, wymaga skośnego kawałka podszytego podszewką zaokrąglonego u dołu, długości 19 cent. który układa się w pukiel i przypina patką z guzikiem. Vêtement przedstawione z tyłu na rycinie 1 przez podpięcie, skraca się z tyłu środkiem do 62 cent. długości, a na bokach do 31 centymetrów.

Stosownie do gustu, odmiany garnirunku stanowić mogą jaśniejsze albo różniące się kolorem wypustki przy plisach i patkach, również odpowiednie guziki, lub też plisy odmiennego koloru np. różowe, niebieskie, lila albo zielone jedwabne do materjału popielatego, z którego i patki powinny być uszyte. Vêtement przedstawione z przodu na rycinie 13 służy jako wzór nowego garnirunku. Przednia kamizelka, zapinana jest w miejsce patek przytwierdzanych guzikami, tylko na jeden rząd guzików. Patki zamiast guzików przyozdobione są liśćmi z pasmanterji i perełkami.



N. 14. Karoczek przyszyty do paska, do ryc. 46. Krój i opis na arkuszu z formami N. IV. Fig. 21—23.



N. 15. Karoczek z kokardą z dwojakiej materji. Opis i krój na arkuszu z formami N. XVIII. Fig: 69—71.



N. 16. Karoczek do Vêtement w paski ryc. 32.

ryciną 2 składa się ze stanika z baskiną, tuniki i wolantów przy spódnicy, odrobionych z gładkiego ciemno popielatego materjału, sama zaś spódnica objęcie zębów i przednia kamizelkowa część, są z materjału jaśniejszego. Tunika i stanik przybrane są pięknem wyszyciem ze sznura. Rycina 31 w N. 18 Ty. Mód. podaje samą tunikę wyciętą w płytkie zęby, oszyte frendzlą. Część kamizelkowa przyszyta jest od spodu wzdłuż brzegu wyciętego w zęby, oznaczonego na Fig. 10 i przymocowana przy szwie na ramionach. Ciemno popielaty pasek skośny, 3 cent. szeroki stanowi objęcie szyi u kamizelki i z tyłu przyczepia się pod wykrojem szyi, wyciętym w zęby. Fig. 15 przedstawia w naturalnéj wielkości przedni bryt tuniki, Fig. 16 podaje część tylną, a zmniejszony format Fig. 15a podający część przednią, służy do dokładnego przedstawienia całego kroju.

Na bokach tunika podpinana w dwie fałdy po 6 cent. szerokości, oddalone na 9 i pół cent. od góry; z tyłu na każdym brycie podpięta końcem ze wstążki 13 cent. długim, który przyczepiony jest na 25 cent. od rozporka, a 30 cent. od górnego brzegu bryta.

N. 3 i 21 - 22. Ubranie z płaszczykiem od deszczu.

Krój na dodatku N. XI, Fig 52 —53. Krój peleryny patrz rycina 33.



N. 23. Płaszczyk z pelerynką dla dzieci od 2—6 lat. Przód. Krój na dodatku N. V. Fig 24 do 30.



N. 17. Stanik z karoczkiem. Plecy do ryc. 49. i 30 w N. 18 Tyg. Mód.



N. 18. Stanik pod szyją z szelkami w kształcie chusteczki. Plecy do ryc: 27.



N. 24. Płaszczyk z pelerynką dla dzieci od 2—6 lat. Plecy. Krój na dodatku N. V. Fig. 24—30



N. 19. Talma z peleryną i kapturkiem. Opis i krój kapturka na dodatku N. XVI. Fig. 66. Opis i krój talmy Patrz N. 55 i 56 w N. 14. Tyg. Mód.

Guziki zrobione są podług wzoru ryc. 37. w N. 18 Tygodnika. Podpięcia vêtement ułożone są podług ryciny 13.

N.2. Kostium „Luna"

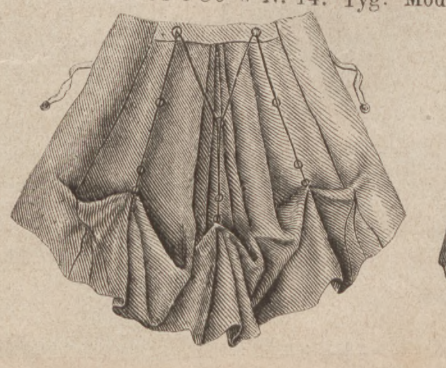
ze stanikiem z baskiną i tuniką.

Krój baskiny i tuniki w dodatku N. III, Fig. 10 — 16. Krój spódnicy patrz N. XIII.

Ładny i zgrabny kostjum przedstawiony pod



N. 20. Płaszczyk do podróży. Plecy do ryciny 31. Krój patrz N. 32.



N. 22. Urządzenie podpięcia płaszczyka od spodu do ryc. 21 i 31.



N. 21. Płaszczyk podróżny. Plecy do ryciny 3. Krój pod N. 32.

W płaszczyku odrobionym z popielatego materjału, z długą peleryną i szeroko puszczonemi rękawami, którego przód podaje rycina 3, a tył i podpięcia od spodu wskazują ryciny 21 i 22. Głównie zasługuje na uwagę to, iż forma różni się zupełnie od dawniejszej puszczonej, a naśladuje bardziej tak dziś powszechnie noszone „vêtement". Formę Fig. 52—53 która z małemi odmiana-

mi służyć może na płaszczyk i vêtement, dopełnić trzeba do odpowiedniej długości i szerokości od miejsc strzałką oznaczonych. Zmniejszone rysunki pojedynczych części formy, ułatwiają zrozumienie i zestawienie całości. Części przednie płaszczyka w których nie dodaje się zaszewek na piersiach, krają się podług Fig 52, przyczem wykrój pachy i boczna linja punkcikami oznaczona dopełnia się w ten sposób, aby przody u dołu miały 88 cent. szerokości. Plecy krają się podług Fig. 53. Peleryna na ramionach aż do dołu zeszywana, z tyłu na środkn ma dane rozcęcie 27 cent. długie, z przodu liczy 50, z tyłu 67 cent. długości, u dołu powinna mieć 200 centy: obwodu. Dwie klapy dodane z tyłu na pelerynie, mają każda 4 cent. szerokości w górze, 11 centy u dołu. Rękaw kraje się podług fig 5, stosując szerokość do szerokości pachy. Podpięcie płaszczyka dokonywa się za pomocą czterech sznurów, p r z e w l e czonych przez pentelki jak to N. 22 wskazuje. Pasek powinien być z tyłu aż do boków przyszyty. Jak to widzimy na Fig. 22 środkowe podpięcie płaszczyka dopełnia się za pomocą d w ó c h s z n urów r a z e m przewleczonych przez pentelki środkowe, a na 26 cent. od wcięcia s t a n u rozchodzących się skośnie ku górze. B o c z ne sznury przeciągają się przez trzy pentelki, końce tych sznurów wydobywają się na wierzch przez rozprucie w szwach bocznych i przypinają do guzików. Kieszonki dodane z przodu, mają 10 c e n t. wysokości, 15 cent. górnej, a 16 i pół dolnéj szerokości. Stębnowana czarna wełniana plecionka 1 cent. szeroka, wełniana frendzla, wielkie guziki i z tyłu naszyta czarna szmuklerska rozeta, ozdobiona kwastami, stanowią podług wzoru przybranie płaszczyka podanego na rycinie 3, 21 i 22. Rycina 21 wskazuje jako oszycie, szeroką przystębnowaną plisę czarną.



N 25. Paletot z kapturkiem dla chłopczyka. Krój i opis na dodat- N. XXI. Fig. 80—82.

N. 4. Ubranie małéj dziewczynki.

Sukienka z gładkim staniczkiem pod szyję z materji wełnianéj piaskowego koloru, ma spódniczkę gładką z przodu ściętą kliniasto, z tyłu ułożoną w fałdy i zakończoną u dołu plisowanym wolantem 10—12 cen. szerokim. Karoczek przyszyty do paska składa się z kawałka plisowanego w fałdy 10 centy. szerokiego, zwężającego się ku przodowi. Plisowane mankiety z materjału sukni dopełniają wązkich rękawów.

N. 5. Paletocik dla młodych osób.

Czarny jedwabny paletocik u dołu wycięty w zęby 10 cent. głębokie. Brzeg zębów objęty jest 3 cent. szeroką plisą z czarnego jedwabnego rypsu, przytwierdzoną wązkiemi pliskami z czarnego lustrownego atłasu, przestębnowanemi środkiem białym jedwabiem. Takiż garnirunek powtarza się przy podłużnym wykroju szyi i u rozciętych półotwartych rękawów. Ładna frendzla dopełnia przybrania, które może być odrobione z sukna w dwóch cieniach. Do przymocowania ciemniejszéj plisy wybiera się atłasową pliskę albo gruby sznur trochę jaśniejszego cieniu, niż kolor materjału na kaftanik.

N. 6. Suknia

z batystu i muślinu.

Na sukni lila batystowéj dane naprzemian falbany batystowe i plisowane muślinowe. Zwierzchnie ubranie muślinowe z rękawkami w bufki, ma u dołu i przy rękawach szeroki obręb, który może być podwleczony kolorowo. Odpowiednio falbanie przy rękawach dany jest garnirunek przy podłużnym wykroju szyi, zakończony lila jedwabną rypsową kokardą. Przybranie głowy stanowią białe róże i lila wstążka.

N. 7. Ubranie

z materji jedwabnéj i krepy albo gazy.

Spódnica, tunika i stanik z bawetem kwadratowo wycięty, są z niebieskiéj materji. Garnirunek stanowią jedwabne wolanty, plisy i bufy lekko ułożone z krepy, dopełniające naszycie spódnicy. Kręcona frendzla jedwabna otacza stanik z bawetem i krótkie bufiaste rękawki, Szmizetka z tiulu i koronki. We włosach gałązka białych kwiatów i kokarda niebieska.

N. 8. Suknia

ze stanikiem z baskiną.

Plisowane falbanki muślinowe i bufy z materji ubierają u dołu spódnicę od sukni jedwabnéj kolorowéj. Falbanki muślinowe

stanika pod szyję i otaczają w około pasek, który z tyłu związany jest na kokardę.

N. 9. Ubranie

z tuniką i stanikiem z baskiną.

Dogodne ubranie z ciężkiéj popielatej materji faille, przybrane jest plisami i frendzlą. Tunika krótka, zaokrąglona z przodu, ma proste tylne bryty fałdowane i podpinane w bufy. Na rozcinanych rękawach dany garnirunek z materji. Plisy zachodzące jedna na drugą są ułożone w ten sposób, że w odstępach 10—12 cent. fałdy są rozsunięte, materja ułożona w bufę i przymocowana, a daléj znowu plisa zakłada się w fałdy. Bufki utrzymuje dana w około pliska. Na głowie koronkowe czarne kokardy.

N. 10. Kostium „Flora“

ze zwierzchniem ubraniem. Krój jak do ryciny 1 N. 18 Tygodnika Mód.

Kostium składający się ze spódnicy do ziemi i podpinanego vêtement, odrobiony jest z jasnego wełnianego materjału i przybrany plisami po 4 i pół cent. szerokości, w ciemniejszym kolorze, które pokryte są białym gipiurowym haftem i garnirowane skośną falbaną 5 centy. szeroką. Vêtement ścięte jest na rogach przednich skośnie, jak to widać na rycinie 10. Wolant od rękawów z dość szerokim obrębem liczy 64 cent. długości. w pośrodku 16, w końcach 8 cent. szerokości. Garnirunek na staniku dany jest z tyłu w kształcie kołnierza w ząb wyciętego.

N. 11—12. Dwa krótkie paletociki.

Opis i krój na dodatku N. XV.

N. 13. Vêtement z ozdobnemi patkami.

Opis przy N. 1.

N. 14. Pasek z karoczkiem.

Do ryciny N. 46 w N. 18 Tygodnika Mód. Forma taka przydać się może i dla osób dorosłych. Krój N. IV Fig. 21—23.

N. 15. Karoczek z kokardą z dwojakiego materjału.

Opis i krój na dodatku N. XVIII Fig. 69—71.

N. 16. Karoczek do ubrania z vêtement w paski. Opis i krój przy rycinie 32.

N. 17. Stanik pod szyję z karoczkiem.

Przedstawiony z tyłu, do ryciny 49 w N. 18 Tygodnika Mód.

N. 18. Stanik pod szyję z chusteczką

w kształcie szelek. Przedstawiony z tyłu, do ryc. 37

N. 19. Talma z peleryną i kapturkiem.

Opis i krój na dodatku. Forma kapturka N. XVI F. 66.

N. 20. Płaszczyk do podróży.

Przedstawiony z tyłu do ryc. 31.

N. 21—22. Opis przy N. 3.

N. 23—24. Płaszczyk

z peleryną dla dzieci od lat 2—6. Krój N. V. Fig. 24—30. Haft przyozdabiający brzegi Fig. 46.

Krój do ryciny N. 23 i 24 zastosowany być może również do sukienki rannéj i spacerowej z cienkiej flanelki lub innéj lekkiéj materji wełnianéj albo też piki, płócienka koloru écru lub batystu z zastosowaniem odpowiedniego oszycia lub haftu. Rycina 24 podaje z przodu wzór płaszczyka, odrobionego z pąsowéj flanelki w czarny rzucik, przybrany czarną wełnianą plecionką i takiemiż guzikami.

Rycina 23 przedstawia płaszczyk z jasno popielatéj lamy, przyozdobiony stębnowaniem w maszynie, ciemniejszym jedwabiem. Dogodny płaszczyk z pelerynką ma dodany gładki karczek podszyty podszewką i zeszywany na ramionach. (Krój karczka Fig. 24—25). Do karczka wszywa się część przednia i boczne formą princesse, ukrajane podług Fig. 26—27 i część tylna Fig. 28, ułożona w fałdy. Z trzech powyżéj wyliczonych części podajemy tylne górne połowy formy i oznaczenie potrzebnéj długości i szerokości. Litery odpowiadające sobie, wskazują zeszycie pojedynczych części. Fałdy tylnego bryta powinny być dwa razy przeszyte w stanie, na nich przyszywa się pasek, przyozdobiony odpowiednio płaszczykowi.

N 25—26. Płaszczyk z kapturkiem

i ubranie dla chłopca. Opisy i kroje na dodatku N. XX XXI.

N. 27. Ubranie z powłóczystą tuniką

stawiający stanik z tyłu. Opis i krój chusteczki na dodatku N. XVII Fig. 67—68.

N. 28. Kostium

z płaszczykiem z peleryną. Opis i krój na dodatku N. XIV. Fig. 62—64a.

N. 29. Ubranie

z tuniką i stanikiem z karoczkiem.

Gustowne ubranie dla osób starszych, odszyte z czarnego jedwabnego repsu, składa się z powłóczystéj spódnicy, zakończonéj u dołu wolantem 30—40 cent. szerokim z tuniki otwartéj z przodu, z tyłu zaś spadającéj aż na tren i ze stanika z karoczkiem, wązkiemi rękawami i pelerynką. Wolant czarny koronkowy z nagłówkiem z plisy jedwabnéj wyszytéj sznurem i koronkowéj marszczonéj stanowi dopełnienie przybrania. Czarna koronka i wyszycie ze sznura ozdabiają podług wzoru stanik i tunikę. Pelerynkę dowolnéj wielkości przykroić można podług formy Fig. 65.

N. 30. Ubranie

dla małéj dziewczynki.

Skośny wolant 9 cent. s z e r o k i zaprasowany w gładkie fałdy, które przeszywa się u dołu, zakończa kostjumową spódniczkę z jasno piaskowéj alpagi. Przyszycie wolantu przykrywa skos gładki 3 cent. szeroki i plisa z materjału s u k n i, wycięta w zęby objęte niebieską wstążeczką.



N. 26. Ubranie dla chłopca od 4 do 6 lat, Opis i krój N, XX. Fig. 75—79. Plecy do ryc: 27, w N. 18 Tyg. Mód.

Takiż sam garnirunek węższy więcéj niż o połowę przystraja staniczek. Gustowny słomkowy kapelusz jest odpowiednio do kostjumu przybrany niebieską wstążką i niebieskiem cieniowanem piórkiem.

N. 31. Ubranie podróżne.

Krój vêtement patrz N. 32.

Płaszczyk podpinany z tyłu i stanowiący dogodne podróżne okrycie, kraje się formą vêtement i może być noszony do sukni takiegoż lub odmiennego koloru. Model podany przez nas z materjału wełnianego, mienionego popielato z czarnem, ma tylko zastębnowany obręb i oszyty jest frendzlą wełnianą. Płaszczyk do którego Fig. 5 podaje szerokie rękawy, kraje się podług Fig. 52 i 53, z przodu 94, z tyłu 140 centy. długi, a 360 mający obwodu u dołu. Spódnica płaszczyka założona jest z tyłu w końcu stanu, w dwie potrójne fałdy, przymocowane wielkimi guzikami. Podpięcie tuniki dokonywa się za pomocą pięciu małych guziczków i odpowiednio naszytych pentelek.

Z każdego boku przyszywa się dwa guziki w odległości 14 i 16 cent: od stanu i jeden guzik z tyłu w pasie. Peleryna skrajana podług Fig. 65, składa się z dwóch części nie zupełnie zeszytych z tyłu, po 29 cent: przedniéj, 49 tylnéj długości i 84 cent. obwodu dolnego. Części te z tyłu rozchodzą się na 3 i pół cent szerokości. Kołnierzyk przykrajany podług kroju do ryciny 4, ma z tyłu pośrodku 18, z przodu w rogach po 14 cent. długości. Kołnierzyk stojący 2 cent. szeroki łączy pelerynę i kołnierz z płaszczykiem. Przy końcu stanu od spodu przymocowany jest pasek aż po szwy boczne, za pomocą którego płaszczyk zapinany z przodu na szmuklerskie pentlice, z tyłu przystaje do figury, a z przodu jest puszczony.

N. 32 i 58. Kostium „Fortuna“.

Krój na dodatku N. XI, Fig. 52—54. Szarfa do kapelusza patrz N. 50 w N. 20 Tyg. Mód. Karoczek patrz N. 16.

Podany przez nas model wskazuje spódnicę kostjumową, niebieską, do vêtement wełnianego w paski białe i popielate, podpinane z tyłu i dopełnione karoczkiem N. 16. Krój Fig. 52 i 53 podaje tylko górną część vêtement wskazanie długości i miara szerokości pozwalają z łatwością wypełnić formę. Przy wykonaniu karoczka przyszytego do paska, potrzeba zwrócić uwagę na linję załamaną, która gdy przeciągniemy ją wzdłuż materjału, podaje oznaczenie górnego brzegu. W odległości 6 i pół cen. od brzegu zakłada się w karoczku potrójną kontrafałdę



N. 27. Ubranie z powłóczystą tuniką i stanik z bretelkami Patrz N. 18. Opis i krój bretelek na dodatku N.XVII Fig. 67—68.

N. 28. Ubranie z płaszczykiem z peleryną. Suknia ze skośnemi falbankami przyszytemi pliskami, przybranemi rulonami atłasowemi wiązanemi w węzły. Opis i krój na dodatku N. XIV Fig. 62—64.

N. 29 Ubranie dla osób starszych z tuniką i karoczkiem.

N. 30. Ubranie małéj dziewczynki.



N. 31. Ubranie do drogi. Suknia z gładkiemi falbankami

N. 32. Ubranie z vêtement w paski „Kostium „Fortuna“. Krój N. XI Fig. 52—54

N. 33. Ubranie z paletocikiem z peleryną (peplum). Krój na arkuszu dodatkowym N. II. Fig. 7 — 9. Patrz przód okrycia ryc: 47 w N. 18 Tygodnika Mód.

N. 34. Suknia powłóczysta podpięta spódnicą z tyłu.